Nr. 216. Lwów — Czwartek dnia 19 Września. Rok 1895

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, wizytach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach itd. i z kwalifikowanych przedmiotach itd. itd. po 30 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . . 1 „ 50 „
w innych państwach . . . 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 20 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Januaryusza | Sozonta m. — Jutro: św. Eustach. | Rożd. Boh.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **LUDWIK MASŁOWSKI.**

Wschód słońca g. 5 m. 48 — Zachód „ „ 5 „ 57

Długość dnia g. 12 m. 9 — Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przypominamy, że prenumeratę można datować tylko od 1-go lub od 15-go w miesiącu i że prenumeraty datowanej od innych dni nie przyjmujemy wcale:

Przypominamy, że każda zmiana adresu kosztuje 20 centów i że kto tej opłaty nie uiści, ten nie ma prawa żądać zmiany adresu;

Przypominamy, że już pora odnawiać kwartalną prenumeratę, która wynosi na prowincyi 3 złr. 30 centów: więc kto przyśle tylko 3 złr. tego wpiszemy jedynie na 2½ miesiące.

Zajęcie Rzymu przez wojska włoskie

20 września 1870 r.

(Z notatek naocznego świadka).

We wtorek dnia 20 września — będzieto na zawsze dzień hańby dla cywilizowanego świata! — o kwadrans na szóstą z rana rozpoczęło się bombardowanie Rzymu. Od Porta Salara do Porta Sancti Pancrazio liczne baterye artyleryi włoskiej zbliżyły się pod mury miasta. Jenerał Cadorna dowodził osobiście na lewem skrzydle, jenerał Angioletti dowodził południowym korpusem na lewym brzegu Tybru, na prawym zaś od Porta Portese aż do bramy św. Pankracego stał przybyły wieczorem dnia poprzedniego z Civitavecchia korpus pod dowództwem garibaldczyka Nina Bixio. Na całej linii działa rozpoczęły silną i nieprzerwaną kanonadę. Nieliczne lekkie armaty polne, któremi rozporządzało wojsko papieskie, przy różnych bramach dzielnie odpowiadały na strzały oblegających. Przy Porta S. Giovanni i Porta Pia żuawi papiescy, uzbrojeni w dobre karabiny systemu Remingtona, zdołali zmusić baterye nieprzyjacielskie do cofnięcia się na znaczną odległość od miasta. Jednakże kanonada włoska wkrótce znacznie uszkodziła stare, po części pochodzące jeszcze ze staro-rzymskich czasów fortyfikacye. Granaty spadały aż w pobliżu Watykanu, przy Porta Pia wywołały pożar willi Bonaparte, spaszczyły fasadę kościoła S. Giovanni w Lateranie, kilka kul wpadło do tego kościoła, jakoteż do kościoła S. Croce di Gerosalemme!

Już po dwóch godzinach kanonady w murze pomiędzy Porta Salara a Porta Pia powstał wyłom, przez który mógł wkroczyć cały batalion frontem, i od kwadransa do kwadransa wyglądano walnego szturmu, na którego odparcie przygotowali się dzielni żuawi papiescy. Ale szturm nie rozpoczynał się, tylko kanonada trwała bez przerwy. O godzinie dziesiątej wódz armii papieskiej jenerał Kanzler, stosownie do otrzymanych rozkazów, rozpoczął układy, dotyczące poddania miasta. W tym celu wysłał do obozu nieprzyjacielskiego pułkownika Carpegnę, majora Rivaltę i hrabiego de Maistre ze sztabu jeneralnego z listem, w którym oświadczył jenerałowi Cadornie, że wprawdzie siły wojska papieskiego nie są wyczerpane, jednak Jego Świątobliwość celem zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi nakazał kapitulacyę. I to na podstawie następujących warunków: wojsko papieskie cofa się do św. Piotra, opróżnione pozycye zajmą natychmiast oddziały jen. Cadorny, który zaręczy za bezpieczeństwo kościołów i klasztorów, jakoteż za osobowe bezpieczeństwo żołnierzy armii papieskiej do domu, gdy oddziały, składające się z Włochów, będą rozwiązane.

Równocześnie Ojciec św. gronu dyplomatycznemu, które na początku bombardowania zgromadziło się w Watykanie, pozwolił wejść do swego pokoju. Wygłosił następnie przemowę wzruszającą, pełną majestatu i smutku, żadne słowo goryczy nie wydostało się z Jego ust, jakoż zawsze, gdy się zdołał [illegible] modlić się za swoich [illegible]. Przedstawicielom mocarstw wręczył piśmienny protest przeciwko popełnionym gwałtom, i każdemu z dyplomatów z osobna gorąco zalecił, aby się opiekowali swymi ziomkami pomiędzy żołnierzami papieskimi. Wskutek tego dyplomaci z Watykanu długim szeregiem z eskortą wojskową wyjechali do willi Albani, gdzie stał główną kwaterą Cadorna. Byłoto około jedenastej. Wojsko papieskie zaniechało walki, i także Cadorna stosownie do zwyczajów wojskowych przerwał ogień, od chwili, gdy przybyli do niego pośrednicy. Tylko Bixio, nie słuchając rozkazów, aż do pół do dwunastej strzelał do Watykanu. Pono przy tej okazyi oświadczył, że gdyby to zależało od niego, nigdyby nie przystał na kapitulacyę, lecz wyciąłby wszystkich żołnierzy papieskich. Już dawniej był się odgrażał, że kardynałów wrzuci do Tybru.

Skoro się ukazały białe chorągwie na kopule św. Piotra, na S. Maria Maggiore i innych wieżach, wojska piemonckie zbliżyły się na kilkanaście kroków do pozycyi wojska papieskiego, [illegible] wtargnęły [illegible] częścią pieszo przebiegali oni ulice z okrzykiem: „Viva l'Italia! Morte ai preti!" O pół do drugiej przez Via Magnanapoli dostali się na plac Trajana. Pozamykano przed nimi wszystkie bramy i okna, dzikie ich okrzyki nie wywoływały żadnego odgłosu wśród ludności rzymskiej. Oni tymczasem napadali na pojedynczych żołnierzy papieskich, odbierając im broń i poniewierając nimi w sposób brutalny. Niektórych przywiązali do swych siodeł i wlekli po ulicach. Na placu dei Barberi napadli na papieskich żandarmów i squadrigierów, którzy dali ognia. Powstała krótka fizylada, poczem ta zgraja znikła w kierunku góry Monte Cavallo.

Nie podobna wyliczyć wszystkich dowodów bohaterstwa, złożonych przez wojsko papieskie podczas 5-godzinnej kanonady. Ale nie można pominąć, że wszystkie oddziały, tak obce, jak włoskie, współzawodniczyły ze sobą zimną odwagą, wytrwałością i zapałem dla świętej sprawy. Na koniu, w gradzie kul Allet dowodził swymi żuawami przy Porta Pia; podpułkownik Castello przy *tre archi* według zdania wszystkich oficerów złożył dowody niepospolitej zdolności w kierowaniu pracami obronnemi; przy S. Giovanni, gdzie dowodził rycerski Charette, byłoby można przedłużyć obronę o 24 godzin. Z boleścią jednak waleczni żołnierze musieli się zabrać do odwrotu niejeden czynił to ze łzami w oku, wszyscy byliby chętnie odparli walny atak. Niezawodnie było możliwem przedłużyć obronę do wieczora, ale tylko przy ogromnej stracie żołnierzy, a tej Ojciec św. pragnął zapobiedz po należytem skonstatowaniu popełnionego gwałtu. Z okrzykiem: „Evviva Pio Nono!" oddziały papieskie opuszczały swe pozycye i wśród sympatycznych okrzyków ludności, maszerowały ku św. Piotrowi. Pojedyncze kompanie, które się w odwrocie spóźniły, wbrew warunkom kapitulacyi, zostały przez wojska piemonckie otoczone, rozbrojone i internowane w Macao, Termini i innych miejscowościach. Około 1-szej nibyto zwycięskie wojsko wkroczyło do miasta, a za niem zgraja Garibaldczyków.

Słowa nie wystarczają na opisanie ohydnych zajść, które się teraz odegrały. Tłum dawnych towarzyszy Garibaldiego z lat 1860 i 1867, pomiędzy którymi kilkuset emigrantów rzymskich z rewolucyjnego motłochu, przy okrzykach „Evviva la vittoria, abasso il Papa, morte ai preti!" towarzyszył wkraczającym oddziałom włoskim. Oficerowie regularnego wojska nie wstydzili się dziękować za owacyę tej zgrai powiewaniem kapeluszami i salutowaniem szpadą. Ośmieleni taką pobłażliwością oficerów, Garibaldczycy wrzeszczeli tem głośniej, zmuszali mieszczan wywieszać chorągwie zielono-biało-czerwone, napadali na wszystkich bezbronnych żołnierzy papieskich, lub takich cywilistów, którzy byli podejrzani o przyjaźne stosunki do wojska papieskiego, kaleczyli ich sztyletami i rewolwerami. Równocześnie wśród uboższych warstw na przedmieściach Monti, Regola, Trastevere, rozdawano pieniądze i ogłoszono, że dzień ten i jutrzejszy będą świętem, i żeby zaniechano wszelkiej pracy. Tym sposobem sekta werbowała rekrutów wśród motłochu rzymskiego, który, jak motłoch każdego wielkiego miasta, zawsze będzie pochopny za zapłatę wrzeszczeć, uczestniczyć w zbiegowiskach i rabunku. Przez całą noc ta zgraja napełniała ulice, zwiększona mnóstwem lekkich kobiet, które garibaldczycy wlekli za sobą w dowód swej missyi cywilizacyjnej!

Dnia 21 września afisze na narożnikach ulic zapowiadały, że więzniowie przez miasto odprowadzeni będą na dworzec kolei żelaznej. Rzeczywiście władze wojskowe zgotowały motłochowi upragnione widowisko, przeprowadzając przez główne ulice żołnierzy papieskich. Motłoch gwizdał wył, obrzucał obelgami, a nawet kamieniami walecznych wojowników Kościoła. Wtedy to kapitan Coessin i porucznik żuawów Bach zostali skaleczeni, a wojsko królewskie nie przeszkadzało motłochowi w tej ohydnej zabawie.

Na placu św. Piotra, gdzie główna część wojska papieskiego spędziła noc, po południu zjawił się Ojciec św. i po raz ostatni udzielił swym walecznym synom błogosławieństwa. Przy okrzykach: „Evviva il Papa Re" odmaszerowali do najbliższej stacyi kolei żelaznej. Ci przynajmniej odeszli bez zniewagi. Oficerowie jeszcze w obecności Ojca św. byli połamali szpady, oświadczając, że nie będą już walczyli za żadną, tylko za Jego sprawę. Z szeregów żołnierzy odzywały się w różnych językach głosy: „Na tem nie koniec, powrócimy do Rzymu!"

Tymczasem anarchia w mieście ciągle się wzmagała. Wystarczyło wskazać na przechodnia z słowami: „oto przebrany żołnierz papieski", aby motłoch rzucił się na niego i dobijał go. W ten sposób wielu zaspokoiło swą prywatną zemstę. Rannych żołnierzy papieskich z domów prywatnych wywlekano na ulicę i przebijano sztyletem, jak mianowicie żuawa Alfonsa Belvę, Belgijczyka. Wieczorem nakazano powszechne oświetlenie. Na komendę sekty otworzyły się bramy więzień. Galerników witano jako oswobodzonych braci. Spólnik zamachu w koszarach Serristori, skazany na śmierć, którą to karę Ojciec św. był zamienił na dożywotnie więzienie, został wsadzony do karety i przy blasku pochodni obwożony na Corso. Na pałacach portugalskiej i szwajcarskiej ambasady zdarto herby papieskie, — w pruskiej z trudnością udało się przeszkodzić temu. Daremnie ze wszystkich stron zanoszono prośby do jenerała Cadorny, aby tej orgii motłochu położył koniec. Odpowiadał: „Bisogno lasciar il popolo sfogarsi". (Trzeba pozwolić ludowi pobawić się). Lud? Były to wyrzutki społeczeństwa, — pachołki sekty i galernicy.

Popołudniu motłoch wtargnął do leonińskiego cyrkułu, wołając aż pod oknami Papeża: „Abasso Pio Nono", grożąc zajęciem Watykanu. Wtedy kardynał Antonelli do posła pruskiego udał się z prośbą, aby zapytał naczelników wojsk włoskich, czy osoba Ojca św. ma być bezbronnie wydaną motłochowi? Cadorna odpowiedział, że nie ma rozkazu zająć cyrkułu leonińskiego. Czyliż jednak nie było jego obowiązkiem obsadzić zawczasu wejść do tej dzielnicy? Czyliż miał rozkaz wpuścić po odejściu wojska papieskiego, Garibaldczyków? Ostatecznie oświadczył gotowość obsadzenia cyrkułu leonińskiego, jeżeli go kardynał Antonelli listownie do tego wezwie. Ztąd pochodzi, że w urzędowej gazecie florenckiej czytamy, iż Cadorna zajął dzielnicę leonińską na wyraźne życzenie Ojca św.

* *
*

Powyższe opowiadanie naocznego świadka, jednego ze znanych dyplomatów austryackich, — uzupełniamy krótką kroniką wypadków, które wyprzedziły zajęcie Rzymu.

Dnia 4 września, po nadejściu depesz paryskich o obwołaniu republiki, w Florencyi ministeryum włoskie uchwala jednomyślnie zająć Rzym, i wysyła hrabiego Ponza di San Martino celem rozpoczęcia rokowań z Ojcem św.

Dnia 5 września minister wojny jenerał Govone, potępiający zamiary rządu, ustępuje, w jego miejsce mianowany jen. Riccotti.

Dnia 6go września armia włoska pod dowództwem Cadorny staje na granicy terytoryum papieskiego, włoskie okręty wojenne zjawiają się przed portem Civita vecchia.

Dnia 7go września minister spraw zagranicznych Visconti-Venosta rozsyła okólnik, podnoszący konieczność zajęcia Rzymu celem zabezpieczenia porządku, strzeżenia nietykalności Włoch i bezpieczeństwa Stolicy Apostolskiej (!), i zapewniający, że rząd włoski jest gotów porozumieć się z innemi mocarstwami co do warunków niepodległości Papieża.

Dnia 8go września król Wiktor Emanuel Ojcu św. przez hrabiego Ponza di San Martino przesyła list, w którym oświadcza, że jest królem katolickim (!), ale spełniając obowiązki monarchy Włoch, celem zabezpieczenia osoby Papieża i utrzymania porządku (!), będzie zmuszony zająć Rzym.

Dnia 11go września. W odpowiedzi na list Wiktora Emanuela, „niegodny katolickiego monarchy", Pius IX-ty oświadcza: „Dziękuję Bogu, który pozwolił, aby W. Kr. Mość jeszcze w ostatnich latach mego życia napełniła mnie goryczą".

Dnia 12go września. Minister spraw zagranicznych republiki francuskiej Favre, dowiedziawszy się o wkroczeniu wojsk włoskich do państwa papieskiego, — oświadcza ambasadorowi włoskiemu, że Francya z sympatyą (!) pozwala Włochom dokonać swych zamiarów.

Dnia 16go września. Po cofnięciu się wojska papieskiego, Włosi wkraczają do Civita vecchia i z wszystkich stron Rzym otaczają.

Korespondencye.

Warszawa 14 września.

(*Azet.*) Rozpoczęcie roku szkolnego, to szereg utrapień u nas dla rodziców i opiekunów. Kto tego nie widział, a właściwie, kto tego nie doświadczał, ten nie może mieć o tem pojęcia. Właśnie rozpoczął się nowy rok szkolny w Warszawie, jak i na prowincyi, a ile z tego powodu panuje przygnębienia, ile popłynęło łez rodzicielskich, ile trzeba było połknąć moskiewskich komplimentów, ile znęcań przeleciało nad tą naszą zacną, poczciwą i szlachetną młodzieżą, to tylko jeden Bóg zliczy i tam kiedyś zdadzą przed Nim rachunek ci prawdziwi siepacze ducha ludzkiego. Napływ do szkół średnich z całego kraju w tym roku był jeszcze większy, niż lat poprzednich, bo choć szkoła moskiewska pełna tendencyjnego jadu, to cóż z dziećmi robić, gdy dorastają i uczyć ich trzeba, a mało jest tak zamożnych, aby dać uczyć w Galicyi, co połączone jest z ogromnemi przeszkodami, zagranicą, lub wreszcie przez prywatne lekcye. Napływu jednak tego do szkół średnich, zwiększającego się u nas rok rocznie, p. Apuchtin wcale do serca nie bierze i rząd bynajmniej się nie stara, aby tę młodzież było gdzie pomieścić, — przeciwnie, liczba do każdej klasy jest ograniczona i po nad nią nie będzie przyjęty ani jeden uczeń. Na tem zyskują wprawdzie prywatne zakłady, które mają nawet po ośm klas i w których nie panuje zgniła atmosfera pedagogiczna, a daleko lepiej uczą — ale zakłady te są tak szpiegowane, tyle muszą łamać na każdym kroku trudności, tak ich p. Apuchtin obsacza rozmaitemi ograniczeniami, tyle im inspektorowie robią szykan, że doprawdy podziwiać należy energię, hart i siłę odporną przewodników, czy dyrektorów tych zakładów. Swoją drogą, nic się tam nie dzieje, coby się sprzeciwiało przepisom szkolnym, nikt tam się nie bawi w politykę, oprócz nauki i kształcenia się nikomu nic przez głowę nie przejdzie, ale że to zakłady w każdym razie polskie, że kierownictwo polskie, że nauka mimo stosowania się ścisłego do rozporządzeń kuratoryi, udzielana jest starannie, a opieka nad uczniami troskliwa, więc p. Apuchtin sypiać już z tego powodu po nocach nie może i tylko przemyśliwa, jakimby sposobem dokuczyć, gnębić i prowadzić szlachetną misyę męczenia ludzkiej duszy.

Właśnie 12-go września otworzono także rok szkolny w uniwersytecie warszawskim — otworzył go mową do studentów rektor uniwersytetu, a ponieważ mowa jego, mimo że starannie unikał w niej takich wyrazów, jak „Polacy", a Królestwo polskie nazywał „akrainą", mimo życzenia, aby studenci zostali „godnymi obywatelami wielkiej ojczyzny rosyjskiej" — mowa ta nie podobała się kuratorowi Apuchtinowi, bo rzeczywiście nacechowana była pewnym spokojem, pewną względnością i pewną nawet delikatnością, niepraktykowaną zwykle przez Rosyan, gdy się dotyka tutejszych stosunków. Ale dzisiejszy rektor warszawskiego uniwersytetu, w ogóle nie podoba się p. Apuchtinowi, bo nie szykanuje młodzieży polskiej i obchodzi się z nią delikatnie, co nawiasem powiedziawszy, nietylko jemu, ale i uniwersytetowi wychodzi na dobre. Zdaje się tedy, że niedługo będzie on tu u nas popasał, tembardziej, że już Apuchtin prowadzi przeciwko niemu kampanię w Petersburgu, z powodu dawniejszego, następującego zajścia: Po śmierci cara Aleksandra III-go, rektor nie rozporządził, aby studenci uniwersytetu założyli krepę żałobną na rękawy mundurów, mimo, że Apuchtin napierał nań o to. Rektor tłómaczył się tem, że podobny nakaz wywoła wśród młodzieży opozycyę i awantury, które nie powinny się wydarzać, szczególniej po świeżym zgonie monarchy. Gdy jednak dwóch studentów w deputacyi udawało się do hr. Szuwałowa o pozwolenie na koncert dla ubogich kolegów, rektor zwrócił im uwagę, że byłoby dobrze, aby przywdziali żałobę, bo bez niej, byłoby to demonstracyą, na czem by mogła dobra ich sprawa dużo stracić. Rzecz prosta, że studenci natychmiast to uczynili. Inna znowu sprawa przyprowadza Apuchtina do delirium. W uniwersytecie, w audytoriach na korytarzach, w aulach, bibliotekach, kancelaryach i innych ubikacyach, absolutnie nie da się zastosować rozkazu, aby nie mówiono po polsku, gdyż oprócz wykładów profesorskich, nikt innego tam języka nie słyszy, bo młodzież między sobą inaczej nie mówi, tylko po polsku. Apuchtin nalegał kilkakrotnie na rektora, aby umieścił na korytarzach, iż po polsku mówić nie wolno, rektor zaś oparł się temu stanowczo. Były podobno jakieś „pierepiski" z ministrem oświecenia, coś tam jeszcze pisał w tej sprawie Hurko, koniec końcem, rozkazu takiego na korytarzach uniwersytetu nie umieszczono, a nawet nigdy nikt pod tym względem studentom wskazówek nie dawał. I znowu mądrze rektor postąpił i salwował powagę władzy, gdyż rozkazu takiego niktby z młodzieży nie usłuchał, i byłyby niezawodnie prześladowania.

Padwa 12 września.

Wrzesień tegoroczny jest nawet tutaj niesłychanie gorący. Od miesiąca nie mamy deszczu. Cierpi na tem bardzo lud, który żyje z uprawy ogrodów. Bieda zapowiada się coraz większa, a rząd chce wmówić w siebie i naród, że jest szczęśliwym, że opływa w dostatek, że więc powinien się cieszyć i radować i sposobić się do nadzwyczajnego święta 20 września. Nawet w Padwie czynią do niego przygotowania. Porozlepiano po murach miasta kilkometrowe afisze, wzywające obywateli do brania czynnego udziału w uroczystościach masonów. Uchwalono wyścigi cyklistów, strzelanie do celu, iluminacyę gmachów rządowych, złożenie wieńców na pomnikach Garibaldego i Cavour'a. Oto i cały program tego święta masonów. Rząd zaś, by ściągnąć jak najwięcej ludzi do Rzymu, zniżył tak ceny kolei, że za 9 lir można odbyć całą tę podróż tam i napowrót. W Rzymie zaś wynajął wszystkie puste mieszkania i koszary, a nadto porozbijał namioty dla pomieszczenia patryotów. Dla zachowania porządku zaś sprowadził do Rzymu z pobliskich stacyi kilka batalionów wojska. Widać więc z tego, że nawet samym patryotom rząd nie ufa. Pomimo tego wszystkiego zrobi wielkie *fiasco*, gdyż poważna część ludności nie weźmie najmniejszego udziału w tych uroczystościach, a bez niej święto takie nie uda się. Zresztą nawet sami liberałowie nie są bardzo za tem świętem. Dowodem tego jest, że zaledwie kilka gmin uchwaliło posłać do Rzymu swoich przedstawicieli, inne zaś zupełnie odmówiły udziału. Sam Menotti Garibaldi nie chciał i nie przyjął ofiarowanej mu prezydentury w komitecie utworzonym w celu zajęcia się uroczystościami 20 września. Carducci, sławny z hymnu o szatanie, oświadczył, że nie będzie pisał, jak to był przyobiecał, żadnego

---

83)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Dziesięć godzin tej spokojnej przeprawy rzeką mija szybko. Podziwiamy roztaczające się przed nami krajobrazy i bawimy się oryginalnymi dowcipami tego Yankesa czystej wody, który wysławia nam pewien klub w Filadelfii, zdaniem jego najstarszy klub anglosaski na świecie od czasu zniknięcia bifsztykowego klubu w Londynie. Opowiada nam starodawną organizacyę tego klubu, mającego dygnitarzy, gubernatora, wicegubernatora i szeryfa. Funkcya tego ostatniego polega na tem, iż ma aresztować każdego członka, nie pijącego kieliszka starej madery i za karę wlewać mu wino za mankiety. Wysławia nam także zalety pewnego gatunku ryby morskiej, pieczonej na rożnie, a znanej pod nazwą *planked shad*, którą się je w naczyniu srebrnem, ozdobionem herbami Williama Penna. Amerykanin ten utrzymuje i dowodzi mi, że w jego ojczyźnie jest więcej starych kobiet niż w Europie, a na dowód rozpoczyna wyliczać ich imiona. Przychodzi mi przy tej sposobności na myśl żart pewnego Anglika, który, gdy interlokutor jego wywodził swą genealogię aż od zamierzchłych wieków i następnie jego zapytał: „A skąd pański ród się wywodzi?", odpowiedział mu: „Z największego kraju na świecie, bo mającego lasy, z których ścięto drzewo na największy ze wszystkich okrętów, na okręt, którym płynęło tyle ludzi, ile na największej flocie".

— A jak się ten okręt nazywa? — zapytał ów drugi

— „Mayflower".

Rzeczywiście Amerykanie za często cytują to imię czczone przez nich. Pomimo to jednak w tym kraju tak nowym spotyka się ślady cywilizacyi bardzo już odległej, która wydaje się tem odleglejszą, że jest zupełnie zburzona.

Tegoż wieczora, wylądowawszy ze statku i czekając w Jupiterze na odjazd pociągu, widziałem w niedokończonej jeszcze szopie gromadę murzynów, urzędników i robotników tej linii kolejowej, pracujących a zarazem bawiących się. Aż do roku ubiegłego nie widzieli oni lokomotywy. Toczą oni wielkie ciężary, to znów próżnują, śpiewają, rozmawiają, przezywają się, bawią się swymi chapeau-klakami, a jednak zwolna wykończają tę szopę, służącą już ruchowi kolejowemu, który wkrótce przekształci ten zapadły zakątek, rzuci tu także pierwsze promienie cywilizacyi, ale jak nowej, jak kruchej! Takie mnóstwo jest podobnych zakątków w Stanach Zjednoczonych, że inne, mniej świeże, wydają się anomalią.

Lake Worth 4 kwietnia.

Przybyłem do Lake Worth wczoraj o zmierzchu. I tutaj także odnoszę to wrażenie kontrastu, jakiego doświadczyć można tylko w Ameryce. Oto zakątek świata, odległy od wielkich i małych miast, od wsi nawet; żadnej cywilizacyi, pustka dokoła, naraz natrafia się na wspaniały pałac hotelowy, wzniesiony dla fantazyi magnata kolejowego. Wypełnia on całą krawędź widnokręgu swą olbrzymią świetlaną masą, po za którą drga woda, odzwierciadlająca w sobie iskrzące się gwiazdami niebo. Oto pociąg kolejowy zatrzymuje się nad brzegiem ogromnego jeziora słonego, rozciągającego się u stóp łąki palmowej, na której wzniesiono ten hotel. Elegancki parowiec spacerowy, umeblowany z trudną do uwierzenia fantazyą, zabiera nas na pokład i przewozi do balli kolumnowej, oświeconej elektrycznością i poprzerzynanej windami. Pełno w niej mężczyzn i kobiet ubranych balowo, tańczących na zabój. Od czasu do czasu jakaś zmęczona para wychodzi na taras, oddycha powietrzem łagodnej nocy zwrotnikowej i ssie pomarańcze, napełniające powietrze cukrowym zapachem, zaś wiatr dmący od ogrodów, zieje na tę tarasę i na halę woń kwiatów nieznanych.

Co za kraj! Jak tu można być szczęśliwym, niby roślina wschodząca w słońcu i nie pragnąca rosnąć gdzie indziej! Otworzywszy z rana okno, widzę pomiędzy hotelem a jeziorem las palm kokosowych, z których zwieszają się grona owoców, wielkich jak głowa dziecka. Wczoraj przechadzając się wzdłuż brzegu Oceanu, oddychałem powietrzem gaju wawrzynowego, przez który przejeżdża tramwaj, zaprzężony w jednego konia. Wagon ociera się o te piękne drzewa, o ich liście koloru mięsistego, o gałęzie zwieszające się nad naszemi głowami, tak, że co chwilę rozdzieramy, gnieciemy tę bujną roślinność.

Ale wegetacya tutaj tak nadzwyczajna, że zdaje się, iż wszystkie te rany, zadane drzewom i krzewom jutro się zagoją. Z tych drzew, z tych ziół, z tych pól ananasowych wydobywa się ciepły zapach, który wprost upaja. Natura to za gwałtowna a zarazem za słodka. Morze rozciągające się na końcu tej alei wawrzynowej jest, powiedziałbym, za niebieskie. Nie jest to dziki Ocean, ale nasze morze Śródziemne, rozkoszne, kobiece...

I na tem lazurowem przestworzu znów widać żyłę *Gulf Stream'u*. Ryby olbrzymiego kształtu igrają w szafirowych przestworzach morza. To rekiny. Ich obecność jednak nie przeszkadza młodym Amerykanom kąpać się w tych wodach.

Lake Worth 6 kwietnia.

...Codzień pływam w barce po olbrzymim lagunie w towarzystwie dwóch murzynów, — z których jeden pochodzi z wysp Bahama. Opowiada mi, że jest Anglikiem i pokazuje mi list, z marką pocztową angielską, na której widoczna twarz królowej Wiktoryi. „My old Missis" — moja stara pani — powtarza co chwilę. Z miną poważną dodaje, że jest wyznawcą kościoła anglikańskiego. W całem jego zachowaniu się przebija próżność, wypływająca z przynależności jego do olbrzymiego państwa angielskiego. Słuchając go, dopiero zdaję sobie jasno sprawę z uroku, jaki roztacza to wielkie państwo, złączone pod berłem „starej pani". Z tą samą dumą, z którą niegdyś starożytni Rzymianie powtarzali „Civis Romanus sum", mówią ci ludzie z widoczną pogardą dla Stanów Zjednoczonych:

— Anglicy znieśli niewolnictwo o wiele wcześniej, aniżeli Stany Zjednoczone.

Opowiada mi ten murzyn, że jego babka, wywieziona z Afryki na parowcu hiszpańskim, uwolniona została na pełnym Oceanie, w pobliżu Antyllów, przez angielski okręt wojenny i że wciąż marzy o tem, ażeby powrócić do Afryki.

Kocha on swą matkę bardzo i cieszy się na myśl, że za kilka dni ją zobaczy, gdy sezon zimowy się skończy i on powróci do domu. Zaręczony jest od jesieni i pokazuje mi list swej narzeczonej.

Gdy słucham opowiadania jego, przychodzi mi na myśl stara murzynka, którą widziałem w Georgii. Miała ona dwadzieścia i czworo dzieci i po wojnie secessyjnej wybrała się na pielgrzymkę, aby je wszystkie odszukać i widzieć bodaj raz przed śmiercią.

Barka nasza płynie wzdłuż wybrzeży. Wiatr wydyma jej wysoki żagiel. Jest to głęboka i szeroka łódź, na której mój murzyn przybył z wysp Bahama i na której za dwa tygodnie tam powróci. Kosztowała go ona trzysta dolarów, a połów ryb na tych morzach daje mu dostateczne utrzymanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

hymnu na 20 września. Również i jen. Cadorna odmówił udziału w obchodzie.

Lemmi i Crispi są w wielkiej obawie, gdyż świeżo nawrócona sławna masonka miss Diana Vaughan przyobiecała opublikować drukiem w *Riviscie* antimasońskiej swoje pamiętniki. Otóż wielki bohater dei Tabacchi dał swoje rozkazy p. Crispi'emu, by nakazał policyi rzymskiej pilnie uważać na pierwszy numer tego pisma, aby go zaraz, gdyby tam coś było o nim, sekwestrowano. Pewnem atoli jest, że pomimo tego wszystkiego nie uda mu się zapobiedz zdemaskowaniu rozmaitych tajemnic masońskich, gdyż miss Vaughan nie odstąpi od swego zamiaru, a posiada ona wszystkie akta urzędowe, za które zapłaciła kilkanaście tysięcy lir. W Medyolanie tymi dniami zebrali się reprezentanci licznych lóż masońskich. Na zebraniu tem mówiono dużo o Lemmim i Crispim, powtarzając przeciw nim znane już i po tysiąc razy podnoszone zarzuty. Tak więc podczas gdy Lemmi i Crispi czynią ostatnie wysiłki w celu zadania Kościołowi stanowczego ciosu, w tym samym czasie grozi im podwójne niebezpieczeństwo z własnego obozu i przekonywa ich, że codzień ziemia ustępuje się z pod ich stóp.

W tych dniach został usunięty od służby i pozbawiony stopnia doktor wojskowy Paweł Poletti, za to, że podczas wyborów do parlamentu okazał się katolikiem i posłusznym Papieżowi. Publicznie bronił on praw Papieża i udowadniał, że Papież ma najzupełniejszą słuszność, zakazując katolikom brać udziału w wyborach. Otóż za to został powołany do odpowiedzialności, gdzie nie brakło mu odwagi, pomimo że wiedział, co go czeka, wypowiedzieć w obec przełożonych śmiało swoje przekonanie. Najpierw kazano mu podać się dobrowolnie do dymisyi, co on chętnie uczynił. Nie przyjęto jej atoli, gdyż w prośbie swej o dymisyę podał Poletti przyczyny, których rząd nie mógł uwzględnić. Otóż konsilium karności w końcu wypowiedziało mu służbę. Teraz Poletti donosi, że zgadza się na wyrok, a w dniu 20 września pośle Papieżowi oznaki swej godności.

Wszyscy obcy dyplomaci przy Kwirynale postanowili nie brać najmniejszego udziału w uroczystościach. Katolicy zaś całych Włoch w dniu 20 września prześlą Ojcu św. hołdy poddaństwa i datki na świętopietrze. W październiku b. r. będzie prawdopodobnie konsistorium na którem Ojciec św. wygłosi uroczystą mowę przeciw uroczystościom 20 września. W dniu tym tak kardynałowie jak i reprezentanci przy stolicy św. cały dzień przepędzą w Watykanie razem z Ojcem św. Wyjdzie także wiele wydawanych tutaj w podobnych okolicznościach tak zwanych „numero unico" (jednodniówek) z wyrazami hołdu dla Papieża. Pewne stowarzyszenie młodzieży wyda kartki korespondencyjne, które będą miały odpowiedni napis, a przesłane zostaną Ojcu św. Księża zaś postanowili w dzień ów odprawiać msze św. na intencyę Ojca św.

Z tego więc widać, że jak masoni chcą zatruć Papieżowi ostatnie dnie jego życia, tak znowu katolicy nie zaniedbują niczego, by mu je osłodzić. Dowodem tego są owe ustawiczne pielgrzymki do miejsc świętych jak Padwa, Loreto, Lourdes, — oraz kongresy, jak eucharystyczny w Medyolanie, gdzie było samych biskupów do 80.

Nakoniec pozwalam sobie zwrócić uwagę waszych czytelników na niezmiernie pouczający proces, jaki się toczył niedawno przed jednym z trybunałów francuskich. Na ławie oskarżonych zasiadał siedemnastoletni młodzieniec, Emil Gaudot, który zdawał się typem zepsucia. Prezydent sądu odezwał się do niego: „Gaudot, jesteś oskarżonym, że zamordowałeś Różę Menie, by obrabować ją z 40 soldów (1 złr.). Zapewne, gdybyś wiedział, że tak mało przy niej znajdziesz, nie byłbyś jej zabijał?"

Gaudot: „Dlaczego? Co mnie tam obchodziło, że będzie mniej lub więcej jednego grata starego? Ja pracuję za byle jaką cenę".

Prezes: „Twój cynizm przestraszyłby nawet samych ludożerców. Masz zaledwie 17 lat, a już ostatki sumienia w tobie wygasły. Kto w ciebie to wszystko wpoił?"

Gaudot: „Abo ja wiem".

Prezes: „Przyznajesz się do tego wszystkiego, co ci zarzucają?"

Gaudot: „Przyznaję się do wszystkiego, i śmieję się z tego".

Prezes: „Panowie przysięgli osądzą sprawę. Daję głos obrońcy".

Saint-Apper, obrońca: „Panowie! zadanie moje jest bardzo łatwem. Oskarżony przyznał się do wszystkiego. Na nic więc przydałaby się wszelka obrona. Jednakowoż chcę powiedzieć kilka słów. Jeżeli sprawiedliwość żąda od oskarżonego odpowiedzialności za jego zbrodnie, pozwolicie mi, że ja zażądam odpowiedzialności od sprawiedliwości za jej wyrok. Jakim on będzie? Nie wiem. Wiem jednak bardzo dobrze, że jest tutaj ktoś winniejszym od samego podsądnego. Tego winnego, a raczej tych winnych chcę nazwać po imieniu. Winnymi tymi jesteście wy, panowie, albowiem przedstawiacie tu społeczeństwo, zmuszone karać winy, którym jego niedbałość, a raczej jego zepsucie nie umiało zapobiedz. Widzę przed sobą obraz Ukrzyżowanego. Stoi tu w waszem pretorium, gdzie potępiacie winnych. Ale dlaczego nie ma go także w waszych szkołach, dokąd posyłacie dzieci, by je kształcić? Dlaczego karzecie pod wezwaniem Boga, gdy staracie się wyrzucić go z dusz? Dlaczego Gaudotowi po raz pierwszy pokazujecie Boga tutaj, gdzie właśnie dosięga go prawo? Gdyby Gaudot był widział i poznał Ukrzyżowanego, kiedy siedział na ławach szkolnych, nie siedziałby dziś zapewne na ławie oskarżonych. Kto kiedy mówił Gaudotowi, że istnieje Bóg, że jest przyszła sprawiedliwość? Kto mu kiedy mówił o istnieniu nieśmiertelnej duszy, o obowiązkach względem bliźniego, o miłości i o wierze? Kto go kiedy pouczał o przykazaniu boskiem: Nie będziesz zabijał? Pozostawiono go złym skłonnościom, żył więc jak żyją dzikie zwierzęta na puszczy, tam, pośród tego społeczeństwa, które zrobiło z niego dziś tygrysa, podczas gdy mogło i powinno było zrobić jagnię. O, tak, wy to jesteście winnymi, panowie, wy, którzy sądzicie, wy, którzy się chełpicie cywilizacyą, a jesteście tylko barbarzyńcami, wy moraliści, którzy rozszerzacie wśród ludu niedowiarstwo i zepsucie, i dziwicie się, że lud wam odpowiada występkami i upadkiem. Potępcie mojego klienta, macie do tego prawo, lecz ja potępiam was; takim jest mój obowiązek". (Po tych słowach cała sala zatrzęsła się od oklasków). Przysięgli udali się na naradę. Po kilku chwilach ogłoszono wyrok śmierci na Gaudota. Obrońca wskazując na krzyż zawołał: „Bóg osądzi sędziów".

Podobnych wypadków, w których wyrostki, a nawet dzieci zabijają się nawzajem o byle co, zdarza się niemało. Wszystko to owoce wychowania. Ze szkół wyrzucono krzyż, wyrzucono księdza, z książek wymazano imię Boga i religii, a zastąpiono je honorem. Nic więc dziwnego, że nastąpił taki upadek moralności. Niestety, czemuż tak trudno spotkać takich obrońców, jak Saint-Apper, którzyby mieli odwagę publicznie wskazać prawdziwego winnego?

Powyższy, odstraszający przykład i u nas w kraju niepowinienby przejść niepostrzeżenie: wskazuje on jak bardzo zbawienną i dobrą rzeczą byłoby zaprowadzenie szkół wyznaniowych. *J. W.*

✝

Ks. Arcybiskup Feliński.

Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, tytularny arcybiskup Tarsu, były arcybiskup warszawski, umarł w pałacu biskupów krakowskich wczoraj o g. $^1/_2$7 rano. Nazwisko zmarłego arcypasterza związane jest ściśle z wspomnieniem krwawych lat sześćdziesiątych. Ks. Feliński urodził się w Królestwie Polskiem w Wojutynie dnia 6 października 1821 i bardzo wcześnie poświęcił się stanowi duchownemu, który go miał przeprowadzić przez ciernistą a zarazem wspaniałą drogę męczeństwa. Na młodego jeszcze, a przynajmniej w pełni sił męskich będącego kapłana, zwrócił pierwszy uwagę margrabia Wielopolski. Było to w ciężkiej epoce przygotowującego się powstania styczniowego. Wielopolski uznał ks. Felińskiego za najodpowiedniejszego kandydata na opróżnioną stolicę arcybiskupią właśnie z powodu niesłychanie trudnych warunków, w jakich wówczas znajdowała się archidyecezya warszawska i to może stanowi najchlubniejsze świadectwo wysokich zalet umysłu i serca ks. Felińskiego.

Krótkie arcypasterstwo ks. Felińskiego nie było usłane różami. Świątobliwy kapłan doznał wszystkich goryczy, potwarzy, szyderstwa i innych objawów niechęci ze strony własnych rodaków. Postawiony pomiędzy wezbraną i niczem powstrzymać się nie dającą falą zbrojnego ruchu, a kliką rosyjskich czynowników, czyhających na lada pretekst, aby zniszczyć resztki autonomii Królestwa, jak pomiędzy młotem a kowadłem, musiał arcybiskup znosić intrygi, a nawet prześladowania obu tych wręcz sobie przeciwnych obozów, a z tą samą stanowczością, z jaką uchylił się od łatwej ale niebezpiecznej dla kraju popularności, odpierał i ataki czynowników, którzy podstępnie pragnęli użyć go do swoich celów. Dopiero, gdy rząd rosyjski skazał ks Felińskiego na długoletnie wygnanie, zrozumiało społeczeństwo nasze, czem ks. Feliński był dla niego i co mógłby zdziałać, gdyby znalazł był jednomyślne poparcie w kraju.

Cwierćwiekowe wygnanie w Jarosławlu, w ostrym klimacie wschodniorosyjskim, nadwerężyło siły fizyczne ks. Felińskiego, nie złamało jednak jego energii. Przez kilka lat pobytu swego w Galicyi poświęcił się bardzo gorliwej pracy dla utwierdzenia katolicyzmu na Rusi i dla wzmocnienia łączności jej z Polską. Nie dalej, jak przed kilku miesiącami zajęty był osiedleniem kilku sióstr założonego przez siebie zgromadzenia zakonnego w Łomnie powiatu turczańskiego w pałacyku, postawionym w r. 1885 przez hrabinę Chambord a następnie zamienionym na magazyn fabryczny. Ostatki życia spędził ks. Feliński w krakowskim pałacu biskupim i tu zamknął powieki.

Dla osób, otaczających ks. Felińskiego, już od kilku dni nie było tajemnicą, że zgonu arcypasterza można oczekiwać każdej chwili, tem bardziej, że chory nie chciał przyjmować żadnych pokarmów ani lekarstw. Z rezygnacyą znosił dotkliwe cierpienia, czasami tylko cichy jęk wyrywał się z piersi ks. Felińskiego. Wczorajszej nocy nadeszło decydujące pogorszenie a o godzinie pół do 3-ej rozpoczęło się konanie. O godzinie 6-ej i pół ks. Feliński nie żył. U łoża zgasłego arcybiskupa czuwali do ostatka ks. biskup Puzyna, p. Koziebrodzka z Dźwiniaczki i ks. dr. Bandurski. Zwłoki przeniesiono do kaplicy biskupiego pałacu, gdzie wystawione zostały na widok publiczny. Eksportacya do katedry na Wawelu nastąpi we czwartek po południu a nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w piątek rano, poczem pochód żałobny wyruszy na cmentarz krakowski. Mowę nad grobem zmarłego wygłosi ks. prałat Pelczar.

* *

Z powodu śmierci ks. Arcypiskupa Szczęsnego Felińskiego wydział Arcybractwa NP. Maryi Łaskawej we Lwowie wysłał do księcia biskupa w Krakowie telegram z wyrazami największego żalu. Na pogrzeb ś. p. ks. Arcybiskupa Felińskiego wydział Arcybractwa wysłał delegacyę, a zamiast wieńca na trumnę złożył ofiarę na rzecz zakłady wychowawczego w Łomnie, ostatniego dzieła śp. ks. Arcybiskupa.

Przyszły gabinet Badeniego.

Podana przez nas przed kilku dniami lista członków przyszłego gabinetu, jest jak się zdaje autentyczna i zarówno sfery polityczne jak i cała prasa austryacka liczą się z nim już poniekąd jak z rządem zamianowanym. Właściwa nominacya gabinetu nastąpić ma 2 października i w kilka dni później objąć ma on urzędowanie, Rada państwa zaś zwołaną będzie prawdopodobnie na 22 października. Zaraz na pierwszem jej posiedzeniu przedłoży hr. Badeni program rządowy. Dotychczas trzymany jest ten program w tajemnicy, wiadome są tylko cztery główne jego punkta, a mianowicie budżet na rok 1896, reforma wyborcza ugoda z Węgrami — i jeżeli będzie czas na to, dokończenie reformy podatkowej. Projekt reformy wyborczej jest dziełem hr. Badeniego. Szczegóły jego są dotychczas nieznane, opowiadają wszelako, w sferach parlamentarnych, że polega on na bardzo znacznem powiększeniu liczby mandatów. Co się tyczy odnowienia ugody z Węgrami, to zaraz w pierwszych dniach po objęciu urzędowania wezwie hr. Badeni ministeryum węgierskie do nawiązania rokowań i uda się w tym celu osobiście do Pesztu z tymi swoimi ministrami, do których wydziału ta sprawa należy.

Teka ministra dla Galicyi nie będzie na razie obsadzona, a agendy tego ministeryum załatwiać będzie minister finansów dr. Biliński. Podana przez niektóre dzienniki pogłoska, że w skład nowego gabinetu wejdzie także minister dla Czech, jest nieprawdziwa.

Czego ziemiaństwu potrzeba?

II.

Następnie autor przechodzi po kolei to, co zrobiono dla rolnika w Rosyi, Niemczech, Węgrzech, Austryi i Galicyi.

O Rosyi pisze: „Tu dopiero od niedawna zaczęto myśleć o podniesieniu rolnictwa i zajmować się sprawami agrarnemi, a jednak dzisiaj już zajmuje się niemi nietylko ziemiaństwo, ale też prawie całe społeczeństwo, w szczególności zaś rząd, który zrozumiał ważność swego zadania wobec grozy położenia, a także o obowiązku inicyatywy nie zapomniał.

„Dawniej, mniej tam myślano o interesach ziemiaństwa; nie dalej jak w roku 1892, zamknął ówczesny minister finansów p. Wyszniegradzki granicę dla wywozu zboża z kraju, chcąc tym środkiem, ratować zagrożone głodem części państwa. Głodnym niewiele pomógł, ale tym ziemianom, którzy mieli zboże na sprzedaż, przez sztuczne zniżenie jego cen byt materyalny podkopał; Niemcom zaś poddał myśl szukania innego spichlerza dla Europy, czem niepomiernie szkody własnemu handlowi wyrządził.

„Odtąd jednak nastąpił zwrot ku lepszemu, w systemie państwowym. Naprzód już nieurodzaj i głód w roku 1892 zniewolił rząd do pomyślenia o podniesieniu gospodarstw rolnych w ogóle. Nastąpił rok 1893, a z nim spadek cen zboża, który w jesieni 1894 doszedł niemożliwych granic, a stał się powodem energicznego odtąd działania wszystkich w państwie czynników. Zwiększona produkcya zboża w Rosyi, przez wzięcie pod pług znacznych przestrzeni ziemi, dotąd odłogiem leżących, a także przez wprowadzenie staranniejszej uprawy roli, przyszła równocześnie z konkurencyą płodów amerykańskich i innych krajów zamorskich, z podniesieniem cła na granicach państw sąsiednich.

„Wojna cłowa z Niemcami, obniżyła znacznie wartość zboża w Rosyi, a zakończenie tej wojny i podpisanie traktatów z rządem niemieckim, właściwie z kanclerzem Caprivim, nie zdołało wpłynąć na ceny zboża, w kierunku ich podwyższenia. Traktat z Niemcami ma trwać do roku 1903. Cło za tonnę, czyli 10 ctr. metr. wynosi za pszenicę 35 marek. Ta właśnie różnica ceny, o trzy i pół marki na 1 ctr. metr. czyli na 6 pudach, stanowi ubytek całego dochodu producentów w Rosyi. Otóż ceny praktykowane od roku 1894 do lutego 1895 nie odpowiadały nawet niskim kosztom produkcyi i administracyi krajowej. Podniosły się one na chwilę, z wiosną roku 1895, co głównie wyszło na korzyść przekupniów; w lipcu zaś 1895 roku, ceny ofiarowane producentom za nowe zboże, są równie niskie, jak były w roku ubiegłym, a nie odpowiadają wcale kosztom produkcyi. Ztąd wybuchł i trwa dotąd w Rosyi „kryzys" w całej pełni.

„W roku 1894 powstaje ministeryum rolnictwa, rząd zezwala i popiera tworzenie towarzystw mniejszych rolniczych, przez uchwalenie tak zwanej: „Ustawy normalnej" o towarzystwach rolniczych. Dotąd tylko większym towarzystwom istnieć było wolno, co je nader ciężkiemi robiło.

„Teraz rząd wspiera także tworzenie syndykatów, na wzór francuskich departamentowych; od lat kilku istniał syndykat cukrowników w Kijowie, jednakże jego zasady i zamiary odmiennej były natury. Natomiast w roku 1894, powstał syndykat rolniczy w Kijowie i działalność swoją znakomicie rozszerzył; zaś rolnicy w innych częściach kraju, zawiązują syndykaty w lecie 1895, tak między innemi na Podolu w Kamieńcu Podolskim. Zezwolił zatem rząd ziemiaństwu radzić i odzywać się w sprawach agrarnych, a organizować się celem ochrony zagrożonych ekonomicznych interesów. Dla ożywienia handlu zbożowego wszelkie możliwe ulgi poczyniono.

„Od lat kilku urządzono na stacyach kolejowych składy na zboże, zaś w ważnych punktach handlowych także elewatory, przy niskiej w porównaniu opłacie magazynowego, otrzymują rolnicy znaczne zaliczki na odstawione do stacyi kolejowych zboże. Tak w świeżo otwartych składach skarbowych zboża, przy kolei Chwastowskiej, opłaca producent składający na trzy miesiące zboże, dziennie od puda, czyli od 33 naszych funtów cłowych po $^1/_{400}$ kop. Wagon zboża cały przez trzy miesiące kosztować będzie $1^1/_2$ kop. dziennie, czyli za **trzy miesiące 1 rubel 50 kop**, co znaczy około 2 zł. (W Galicyi kolej państwowa składów zbożowych nie ma, koleje prywatne pobierały po 1 zł. 50 ct **od wagonu dziennie**). Muszę tutaj zwrócić uwagę na to, iż nie na wszystkich kolejach i stacyach rosyjskich, warunki równie korzystnie się przedstawiają; czasem nawet zachodzi niebezpieczeństwo, że ruch zbożowy przez koleje, we własnym ich interesie bywa zmonopolizowanym.

„Dla ożywienia handlu zbożowego, zakupowała intendantura z wiosną 1895 roku, zboże wprost od producentów, lub od syndykatów, by tak bieżące swoje potrzeby pokryć, jako też i na przyszłość w zapasy się zaopatrzyć. Rozumie się, że środek ten jedynie przy nader sumiennem postępowaniu zakupującego, obrócić się może na korzyść producentów, a nie spekulantów zbożowych.

„Rząd od kilku lat otworzył rolnikom (swoim poddanym), stosownie do ich zamożności, kredyt na solo-weksle w banku państwowym. Od roku 1893 poszedł jeszcze dalej, bo daje pożyczki na zboże; z początku dawał je tylko na zboże gotowe, namłócone, złożone w magazynach samych producentów, w jesieni jednak 1894, zaczął udzielać bank państwowy pożyczki właścicielom lub dzierżawcom na zboże złożone w stertach na toku, albo też w polu.

„W kierunku polityki taryfowej, uczyniono w Rosyi dużo, nawet tam, gdzie się koleje w rękach prywatnych towarzystw znajdują, wpływ rządu ma dodatnie dla rolników znaczenie. Taryfy transportowe, szczególnie eksportowe, są znacznie niższe, aniżeli w Austryi, nie są jednak jeszcze tak zniżonemi jak w Ameryce, ale jest prawdopodobnem, iż się z niemi, wobec ciągłej dążności ku zniżce, zrównają. Na odległości od 1600 do 3000 wiorst, czyli kilometrów, opłaca się od puda (t. j. $^1/_6$ ctr. metr.) i od wiorsty, (t. j. od kilometra) $^1/_{10}$ kopiejki. Wypada zatem od wagonu i od kilometra 3 k. Wagon zboża odstawiony o 3.000 kilometrów, kosztuje w Rosyi 90 rubli, czyli 125 zł. (Transport wagonu zboża z Tarnopola do Krakowa, na odległość 482 kilometrów, kosztuje 100 zł.)

Ruch przedwyborczy.

Zapowiedziane na wczoraj zgromadzenie przedwyborcze, które miało w dalszym ciągu dyskutować nad sprawozdaniem poselskiem pp. Michalskiego, Romanowicza i Goldmana, nie przyszło do skutku, gdyż jak się pokazało, plakaty, zwołujące to zebranie, były dziełem jakiegoś złośliwego jegomości, który sobie chciał zażartować z wyborców. Żart udał mu się też w zupełności. O godzinie 6-ej sala ratuszowa zaczęła się napełniać, a na galeryach „przyszli wyborcy" zajęli swoje zwykłe stanowisko. Już wszystko było gotowe do rozpoczęcia obrad, brakowało tylko prezydyum i posłów. Publiczność górnych regionów, zadowolniona z dobrej okazyi zrobienia małej „hecy", zaczęła walić laskami w podłogę, nawet samym wyborcom oczekiwanie wydało się już zbyt długiem, wreszcie o godzinie trzy kwadranse na 7-mą wpadł ktoś na dobrą myśl urządzenia wyprawy do miasta po prezydyum. Myśl ta okazała się w skutkach bardzo szczęśliwą, gdyż o godzinie 7-ej zjawił się na ratuszu p. Gubrynowicz, sekretarz zgromadzenia i wyjaśnił całą mistyfikacyę.

* * *

Z **Buczacza** piszą nam 15-go b. m.: Zaproszony przez burmistrza p Sterna i niektórych wyborców i prawyborców, stanął dziś po raz drugi kandydat na posła do Sejmu z z kuryi gmin p. Artur Zaremba Cielecki i w obec licznie zgromadzonych wyborców i prawyborców tak z miasta Buczacza jak i wsi okolicznych, złożył swe wyznanie polityczne. Na interpelacyę p. dra Krzyżanowskiego, wicemarszałka Rady powiatowej w Buczaczu, jak się szanowny kandydat zapatruje na przymusową asekuracyę budynków włościańskich od ognia, który przeciętnie w kraju naszym rokrocznie około 5 milionów strat przynosi i klęski te biedną ludność formalnie do żebraczego kija doprowadzają, — przyrzekł szanowny kandydat bezwarunkowo popierać w Sejmie sprawę przymusowej asekuracyi bez obciążenia włościan, dalej w skutek interpelacyi burmistrza miasta p. Sterna o zrównanie ciężarów gminnych na równi z obszarami dworskimi, przyrzekł postulata te w Sejmie gorąco popierać Nadto na dalszą interpelacyę p. Sterna w sprawie kreowania sądu obwodowego w Buczaczu, jak niemniej w sprawie powiększenia liczby posłów z 30 miast galicyjskich, ustawy drogowej, łowieckiej, kwaterunkowej i t. d, przyrzekł kandydat i te postulata w sejmie poprzeć, a nadto przyrzekł, że każdego roku w obec wyborców swoich z czynności poselskich sprawozdanie będzie składał. Mowę szanownego kandydata oraz jego oświadczenie przyjęto z największym entuzyazmem. W końcu zaznaczyć należy, iż zwołane na dzień dzisiejszy przez p. Kosarczuka do Buczacza przedwyborcze ludowe zgromadzenie zrobiło fiasko, gdyż prócz przewodniczącego i trzech jego zwolenników, nikt nie stanął.

* * *

Otrzymujemy następujące pi mo: Celem porozumienia się co do wyboru trzech posłów na Sejm krajowy z kuryi wielkich posiadłości okręgu tarnowskiego, odbędzie się dnia 1-go października 1895 o godzinie 3-ciej po południu w sali kasy oszczędności w Tarnowie, zgromadzenie przedwyborcze, na które na podstawie upoważnienia komitetu przedwyborczego, mam zaszczyt szanownych P. T. wyborców zaprosić. Panowie kandydaci zechcą zapewne na tem zgromadzeniu wygłosić swoje zapatrywania polityczne. — Tarnów 15 września — *Adolf Dobrzyński.*

* * *

W powiecie **złoczowskim** z mniejszych posiadłości występuje przeciw kandydaturze p. Apolinarego Jaworskiego, aż trzech kandydatów ruskich, a mianowicie: ks. Taniaczkiewicz, gr. kat proboszcz z Zakomarza, ks. Piotrowski, paroch z Rykowa i p. Jan Rudnicki, kandydat notaryalny ze Złoczowa.

* * *

Z **Drohobycza** donoszą, iż wczoraj odbyło się tam zgromadzenie wyborców **z miasta**. Wyborców przybyło około 1.000. Jako kandydaci stanęli mieszczanie Łyśkow i Wiśniewski, a nadto p. Majewski zgłosił kandydaturę p. Juliusza Bielskiego. Po mowie kandydackiej p. Wiśniewskiego przystąpiono do próbnego głosowania, w którem p. Łyśkow otrzymał 11 głosów, p Bielski 15, a resztę p. Wiśniewski. Obwołano go więc kandydatem i uchwalono go popierać przy wyborach.

W **Wadowicach** odbędzie się dnia 19go b. m. zgromadzenie wyborcze, zwołane przez komitet powiatowy, na którem dotychczasowy poseł dr. Zoll, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego, postawi ponownie swoją kandydaturę.

* * *

Stronnictwo ludowe postawiło następujące kandydatury: w powiecie dąbrowskim włościanina Jana Bojkę; w pow. mieleckim włościanina Franciszka Krempę; w pow. ropczyckim dotychczasowego posła włościanina Wojciecha Stręka, w pow. gorlickim włościanina Jana Furmanka, w pow. rzeszowskim włościanina Tomasza Szajera, w pow. brzozowskim włościanina Jana Szajnę z Haczowa, w pow. chrzanowskim wójta z Regulic Wojciecha Małochę, w pow. grybowskim lekarza z Ciężkowic dra Szczepana Mikołajskiego, w pow. brzeskim lekarza z Brzeska dra Szymona Bernadzikowskiego, w pow. bocheńskim włościanina Adama Bardela, w pow. nowosądeckim p. Józefa Znamirowskiego, wójta z Krynicy, w pow. żywieckim włościanina Wojciecha Szweda, w pow. jasielskim włościanina Wawrzyńca Drewniaka, w pow. niskim włościanina Marcina Piroga, w pow. łańcuckim dotychczasowego posła pana Bolesława Żardeckiego.

Z izby sądowej.

Proces egzekutorów podatkowych.

Tarnopol 17 września.

Dziś rozpoczął się przed sędziami przysięgłymi proces egzekutorów i funkcyonaryuszy tutejszego urzędu podatkowego, który ze względu na towarzyszące okoliczności, oraz na osoby oskarżonych powszechne budzi zainteresowanie. Na ławie oskarżonych zasiadają: egzekutorowie podatkowi Władysław Edward Wawra, Władysław Wiśniowski, Julian Fochta i Józef Krzyżanowski, praktykant podatkowy Jan Spytkowski i pisarz urzędu podatkowego Władysław Wojciechowski, którym prokuratorya państwa zarzuca, że dopuścili się zbrodni nadużycia władzy urzędowej. Nadto dwaj pierwsi oskarżeni są o przekroczenie przeciw publicznej obyczajności, przez grywanie w ferbla, a więc w grę hazardową

Genezę zbrodni opowiada akt oskarżenia w sposób następujący: Wawra, Wiśniowski, Focht i Krzyżanowski, którzy byli w głównym urzędzie podatkowym w Tarnopolu egzekutorami podatkowymi, mieli obowiązek na podstawie przydzielonych im przez urząd wykazów, przeprowadzać egzekucyę celem ściągnięcia zaległych podatków, ściągać opłaty wyszynkowe i taksy wojskowe. Pierwszą przydzieloną im czynność, to jest egzekucyę podatków, mieli w ten sposób wypełniać, iż po poprzedniem doręczeniu karty upomnienia, było ich obowiązkiem przeprowadzić egzekucyę mobilarną z przybraniem oceniacza, a następnie odnośny protokół przedłożyć urzędowi podatkowemu, który rozpisywał licytacyę zajętych ruchomości i przydzielał ją do przeprowadzenia, bądź temu samemu egzekutorowi, bądź też innemu. W żadnym razie nie wolno było egzekutorowi tak z ustawy, jak i z mocy instrukcyi służbowej, pobierać od kontrybuentów zaległości podatkowych, a tylko w wyjątkowych razach, jeżeli egzekucya po za obrębem siedziby urzędu podatkowego była przeprowadzana, mogły strony składać pewne kwoty do rąk naczelnika gminy, lub też delegata jak asesora, policyanta, a nawet oceniacza. Z gotówki uzyskanej z przeprowadzonej licytacyi, był upoważniony egzekutor pokryć narosłe wydatki, a mianowicie za przeniesienie ruchomości i wybębnienie licytacyi, zaś resztę zobowiązany był złożyć zaraz do rąk delegata gminy lub oceniacza. Do egzekutora należało także rachunki czyli wykazy oceniaczy co miesiąc przedkładać starostwu, w których podane było ile dni oceniacz przy czynności egzekutora był zajęty. Po sprawdzeniu odnośnego wykazu i po zreferowaniu nakazu wypłaty, oraz po aprobacie jego przez starostę, udzielano czystopis polecenia z podpisem starosty urzędowi podatkowemu do wypłaty i dopiero wtedy mógł oceniacz podnieść przyznaną sobie należytość za kwitem urzędu podatkowego.

Obwiniony Jan Spytkowski, jako praktykant podatkowy, zatem urzędnik państwowy, miał przydzielony prócz innych czynności także referat wygotowywania asygnat do wypłaty dla oceniaczy, a Władysław Wojciechowski był dyetaryuszem, używanym do mundawania referatów. Jak to z zeznań inspektora tutejszej policyi Jana Skulskiego wynika, dnia 26 kwietnia rb. zgłosił się u nadzoru policyi egzekutor Władysław Edward Wawra z oznajmieniem, że został wydalony ze służby i że się z tego zmartwienia upił, a gdy wychodził ze szynku, zgubił 180 zł pieniędzy podatkowych. Ponieważ inspektor p. Skulski znał Wawrę jako człowieka lekkomyślnego, oddającego się rozpuście i nocnym hulankom, a przytem hojnie rozrzucającego na wszystkie strony pieniędzmi, więc zaraz Wawrę przyaresztował, bo z góry przypuszczał, że pieniędzy owych nie zgubił, lecz sobie przywłaszczył. Istotnie też zaraz nazajutrz przyznał Wawra wobec inspektora Skulskiego, że pieniędzy nie zgubił, lecz około 300 zł. przegrał w karty z drugim egzekutorem Władysławem Wiśniowskim, a nadto podał, że z tym samym Wiśniowskim fałszowali wykazy oceniaczy, w czem im pomagali praktykant podatkowy Jan Spytkowski i dyetaryusz Władysław Wojciechowski.

Wdrożone wskutek tego śledztwo wstępne wykazało, że obwinieni podrabiali nietylko wykazy, kwity i asygnaty, ale także ściągnięte drogą egzekucyi należytości podatkowe sobie przywłaszczali, a potem w tinglach i kawiarniach puszczali.

Władysław Edward Wawra w przeciągu 6-miesięcznego swego urzędowania, przeszło 500 złr. tak na szkodę skarbu, jak i kontrybuentów, w liczbie około 50, sobie przywłaszczył. Manewrował on w ten sposób, że przedstawiał kontrybuentom, iż ma nakaz ze strony starostwa ściągnąć należytości podatkowe w drodze egzekucyi a chociaż należytości w wielu wypadkach nie były jeszcze płatne, mimo to bezwzględnie ściągał je od stron, przedstawiając im, że w przeciwnym razie, narażą się na znaczne koszta egzekucyi. To skłaniało strony, że często ostatni grosz oddawały w nadziei, że ich nikt za zaległy podatek molestować nie będzie, tymczasem często się zdarzało, że jednemi drzwiami Wawra wyszedł, drugiemi wchodził inny egzekutor i bez względu na przedstawienia stron, domagał się powtórnej zapłaty. Śledztwo wstępne wykazało dalej, że Wawra dopuścił się przekroczenia przeciw publicznej obyczajności, albowiem sam przyznał, że grywał w karty, a mianowicie w ferbla i przegrał przeszło 200 złr.

O takie same czyny podejrzany jest Władysław Wiśniowski, który wprawdzie przyznaje, że podrobił dwa wykazy wynagrodzeń dla oceniaczy, równocześnie jednak twierdzi, iż uczynił to raz wskutek prośby oskarżonego Wojciechowskiego, raz z polecenia praktykanta podatkowego, Spytkowskiego, nie upatrując w wystawieniu takich wykazów nic złego.

Obwiniony nie przeczy również, że nadużył swej władzy przez to, że kwoty ściągnięte od kontrybuentów jako należytości podatkowe na własne potrzeby obrócił, utrzymuje jednak, że pozostawał w wyjątkowem położeniu, bo przez dwa miesiące płacy nie pobierał i dlatego pieniędzy podatkowych użył na życie w tem przekonaniu, że skoro mu pensya wypłaconą zostanie, brak pieniędzy podatkowych pokryje ze swoich poborów.

Oskarżeni Focht i Krzyżanowski stanowczo wypierają się wszelkiej winy, — natomiast przyznają się do niej częściowo oskarżeni Wojciechowski i Spytkowski.

Trybunał tworzą pp. radzca Schabenbeck jako przewodniczący, Edward Poźniak i Fabry jako wotanci; protokół prowadzi p. Unter. Oskarżenie wnosi prokurator p. Wieczerzyk, bronią pp. dr. Trzciniecki, dr. Schwarz, dr. Rosenfeld i dr. Drozdowski.

Do rozprawy, która potrwa 5 dni, zawezwano 67 świadków.

Lwów 18 września.

(*Kradzież i gwałt publiczny.*)

Wczoraj toczyła się przed tutejszym trybunałem sędziów przysięgłych rozprawa karna przeciw Franciszkowi Półtorakowi oskarżonemu o zbrodnię kradzieży i gwałtu publicznego, popełnioną dnia 15 maja na ajencie policyjnym Günsbergu i 2 żołnierzach policyjnych. Rozprawę prowadził radzca dworu p. Heyderer. Akt oskarżenia przedstawia rzecz jak następuje: Ajent policyjny Günsberg wyśledziwszy karanego już 16 razy za kradzież Półtoraka na ulicy Żółkiewskiej, polecił go aresztować. Półtorak stawił atoli czynny opór, przyczem poturbował ajenta, a żołnierzy pobił i pokaleczył. Przysięgli uznali go jednogłośnie winnym, skutkiem czego skazał go trybunał na 8 lat ciężkiego więzienia. Na wymiar tak ostrej kary wpłynęło to także, że oskarżony rzuciwszy się na świadka, Michała Darosza, wobec trybunału tak silnie uderzył go kułakiem w głowę, że Darosz upadł bezprzytomny na ziemię. Skutkiem tego rozszerzono rozprawę także w kierunku tej zbrodni popełnionej w sali sądowej,

ODEZWA.

Niedaleka, a tak radosna chwila otwarcia gimnazyum polskiego w Cieszynie wkłada na społeczeństwo polskie obowiązek czuwania nad jego dalszą przyszłością i pomyślnym rozwojem. Musimy uważać za rzecz honoru narodowego, żeby zakład od razu stanął na silnych podstawach, aby mu na niczem nie zbywało, aby zadał kłam wszystkim potwarczym podejrzeniom naszych nieprzyjaciół i na kresach dał świadectwo dalszych pokojowych usiłowań, zmierzających jedynie do obrony naszych praw, do dobra i szczęścia współbraci.

Młody zakład będzie potrzebował — oprócz rozmaitych zbiorów (jak roślin, minerałów, chrząszczów itd., które łaskawi ofiarodawcy raczą odsyłać wprost do dyrekcyi gimnazyum cieszyńskiego) — w pierwszym rzędzie biblioteki dla nauczycieli i dla uczniów. Że zaś fundusze jego będą za szczupłe, aby mógł się zaopatrzyć we wszystkie środki naukowe, przeto Towarzystwo pedagogiczne, któremu losy zakładu leżą na sercu, odzywa się do wszystkich Towarzystw naukowych, do P. T. autorów, wydawców i nakładców, jednem słowem do wszystkich ludzi dobrej woli, aby nadsyłali książki odpowiednie do biblioteki dla nauczycieli i dla uczniów, książki szkolne używane w Galicyi, oraz publikacye swoje, nawet w kilku egzemplarzach, na rzecz drogiej naszej strażnicy kresowej.

Na zawiadowcę nadsyłanych książek, który się zajmie ich zbieraniem, spisywaniem i ogłaszaniem w dziennikach krajowych, powołał zarząd Towarzystwa pedagogicznego członka wydziału prof. Józefa Czerneckiego, i uprasza o nadsyłanie wszystkich darów i datków pod jego adresem do kancelaryi Towarzystwa przy ulicy Ossolińskich 11.

Z zarządu głównego Towarzystwa pedagogicznego.

We Lwowie 14 września 1895.

Jerzy Czartoryski, prezes. *Julian Łąfara*, sekretarz.

KRONIKA.

Lwów 18 września.

JE. p. Namiestnik Kazimierz hr. Badeni powrócił wczoraj do Lwowa.

Polowanie. Arcyksiążę Leopold Salwator przybył wczoraj do Demni wyżnej na polowanie w lasach państwa Skole. W piątek przybędzie arcyksiążę do Lwowa, aby wziąć udział w gonitwach myśliwskich, urządzonych przez oficerów lwowskiego pułku artyleryi, w którym arcyksiążę służył jako podpułkownik.

† Ks. dr. Eustachy Skrochowski profesor uniwersytetu lwowskiego, honorowy członek kapituły krakowskiej, członek krak. Akademii umiejętności, prodziekan wydziału teologicznego na uniwersytecie lwowskim, umarł onegdaj w Czerniowcach. Śp. ks. dr. Skrochowski, urodzony w roku 1843 w Kotowej woli, w pow tarnobrzeskim, początkowo poświęcił się zawodowi technicznemu. Ukończył szkołę realną i technikę we Lwowie, następnie wyjechał do Paryża, gdzie słuchał inżynieryi i wstąpił do sławnej „Szkoły dróg i mostów,“ a w roku 1867, po ukończeniu tej szkoły i otrzymaniu dyplomu inżynierskiego, powrócił do kraju i wstąpił do służby krajowej jako inżynier w Wydziale krajowym. On wybudował drogę krajową Mosty wielkie-Krystynopol i przydzielony był stale do budowy zakładu obłąkanych w Kulparkowie. W r. 1870 wyjechał do Rzymu i wstąpił tam do zakonu OO. Zmartwychwstańców, w r. 1871 otrzymał doktorat filozofii w uniwersytecie Gregoryańskim, a w r. 1877 otrzymał święcenie kapłańskie. Studyując teologię ciągle zajmował się sztuką, a ośmioletni jego pobyt w Rzymie dopomógł mu bardzo do rozszerzenia jego wiadomości o sztuce i do zapoznania się z archeologią, szczególnie chrześcijańską i ze światem klasycznym. W r. 1880 wystąpił z zakonu OO. Zmartwychwstańców, przyjęty został do dyecezyi krakowskiej, był katechetą w szkole realnej, docentem na uniwersytecie Jagiellońskim, a w r. 1891 mianowany został zwyczajnym profesorem historyi kościelnej na uniw. lwowskim. We Lwowie wszędzie był bardzo czynny i wszędzie był tam, gdzie się mógł przyczynić do chwały Boga i ku pożytkowi kraju i społeczeństwa. Był jednym z założycieli Czytelni katolickiej. Pracował także wiele piórem i ogłosił cały szereg prac z dziedziny sztuki i chrześcijańskiej archeologii. Cześć jego pamięci!

† Jan Kleczyński. Z Warszawy dochodzi nas wiadomość o zgonie jednego z najwybitniejszych muzyków i krytyków muzycznych polskich śp. Jana Kleczyńskiego dyrektora warszawskiego konserwatoryum, współredaktora *Echa muzycznego i teatralnego*. Kleczyński urodził się w Lublinie w r. 1840 a studya muzyczne, bardzo sumienne i obszerne, odbył w Paryżu, kształcąc się przeważnie na utworach Szopena. Imię Kleczyńskiego wiąże się ze wszystkimi poważniejszymi objawami pracy w zakresie podniesienia muzyki w Warszawie. Jest on jednym z założycieli tow. muzycznego, którego ćwierćwiekowego jubileuszu nie doczekał się. Po za pracą nauczycielską i literacką nie brakło mu ochoty i czasu do pracy na polu kompozytorskiem. Należy tu cały szereg utworów fortepianowych i wokalnych, z których np. „Scherzo“ do słów Asnyka zyskało sobie szeroką popularność. Najtrwalszą jednak zasługą Kleczyńskiego jest znakomite zbiorowe wydanie dzieł Szopena. W opracowanie tego wydawnictwa włożył Kleczyński wiedzę, doświadczenie i energię prawie całego życia. Nieboszczyk był rodzonym bratem dra Kleczyńskiego, profesora wszechnicy Jagiellońskiej.

Do gimnazyum w Cieszynie do 1 klasy zapisało się 88 uczniów. Okazuje się przeto konieczność otwarcia dwóch oddziałów 1 klasy i utworzenia posady czwartego nauczyciela. Dyrektorem gimnazyum jest p. Parylak, były profesor gimnazyum IV we Lwowie.

Staraniem Towarzystwa śpiewackiego „Echo“ odbędzie się w niedzielę dnia 22 b. m. o godzinie 4½ po południu wieczorek muzyczno-dramatyczny o nader urozmaiconym programie. Dochód z wieczorku przeznaczony na utworzenie stypendyum dla gimnazyum cieszyńskiego. Na wieczorku oprócz produkcyi chóru „Echa“, wygłosi panna Czaplińska monolog i odegrane zostaną przez amatorów dwie komedyjki.

Wiadomości dyecezyalne. Gr.-kat. archidyecezya lwowska: Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Jarosław Łuczakowski na Korostów, Emil Malczyński na Łukę małą. Prezentę na gr.-kat. probostwo w Powitnie otrzymał ks. Włodzimierz Łotocki, zawiadowca parafii w Byszowie. Zawiadowstwo parafii św. Piotra i Pawła we Lwowie otrzymał ks. Bazyli Tomowicz, wikary z Podmichala.

Prezesem dyrekcyi teatrów w Warszawie w miejsce zmarłego niedawno jenerała Karandiejewa mianowany został pułkownik Andrejew z Petersburga.

Mafia. Powieść pod tym tytułem, którą dziś rozpoczynamy drukować na ostatniej stronie, naszego pisma, wymaga pewnego komentarza.

Niewiele lat temu w Nowym Orleanie, jednem ze znaczniejszych miast amerykańskich, w którem mieszka dużo Włochów, panowało ogromne wzburzenie. Tajemnicze morderstwa były tam na porządku dziennym, a sądy na trop morderców wpaść nie mogły. Nie chciały raczej; bo na całym świecie wiadomo, że sądownictwo amerykańskie jest niesłychanie przekupne, co nawet jest najgłówniejszym powodem, że utrzymuje się tam ciągle jeszcze „prawo lynchu“ czyli sądy doraźne, spełniane przez publiczność. Przekupstwo też niewątpliwie grało wielką rolę w owej tajemniczej sprawie nowo-orleańskiej. Głos publiczny posądzał powszechnie Włochów o morderstwa. Prywatne agencye śledcze, instytucye bardzo zwykłe w Ameryce, a posługujące się nieraz wybitnymi talentami w roli agentów śledczych, czyli „detektywów“, kilkakrotnie dostarczyły sądom nowoorleańskim Włochów, przeciw którym przemawiały bardzo silne poszlaki, ale za każdym razem sądy ich uwalniały, a morderstwa szły dalej swoim trybem. Nareszcie raz uwięziono coś około 80 Włochów i stawiono ich przed kratki sądowe. Sprawę wprawdzie miał rozstrzygnąć sąd przysięgłych, ale widocznem było, że przewodniczący tak ją prowadzi, takie stawia pytania, takich tylko dopuszcza świadków, aby oskarżonych musiano uwolnić. Wtedy publiczność, oburzona, rzuciła się na więzienie, wymordowała czyli „zlynchowała“ zamkniętych w niem Włochów i tak położyła koniec sprawie. Otóż na tle tych wypadków i na podstawie aktów sądowych wspomnianego procesu, znakomity autor francuski Le Faure osnuł swą powieść, która nietylko czyta się z niezwykłem, nieustającem zajęciem, ale nadto pozwala zajrzeć głęboko w stosunki amerykańskie i w temperament tego nowego społeczeństwa.

Zaręczyny. Dnia 8 bm. odbyły się w Riece, w Kroacyi, zaręczyny p. Zygmunta Micewskiego, rotmistrza 6 pułku ułanów, z panną hr. Maryą Rubido-Zichy.

Pożary. W Rakobutach w powiecie kamioneckim pożar zniszczył dnia 12 b. m. 41 zagród włościańskich, wyrządzając szkodę na przeszło 30.000 złr. W Kulikowie spłonęły dnia 6 b. m. trzy domy.

Przykry wypadek wydarzył się wczoraj przy ulicy Leona Sapiehy. W południe wyszedł z klasztoru PP. Sercanek kondukt pogrzebowy zmarłej zakonnicy i spotkał się z nadjeżdżającym wozem kolei elektrycznej. Konie karawanu — widocznie z widokiem tramwaju nieoswojone—spłoszyły się i tak silnie szarpnęły karawanem, że woźnica spadł z kozła i ciężko się potłukł, a u karawanu złamało się koło. Wskutek tego pochód dalszy okazał się niemożliwym, zdjęto więc trumnę i umieszczono w kościele św. Łazarza.

Główna wygrana losów Palffy'ego w kwocie 40.000 zł. padła na nr. 30.882; druga, w kwocie 5000 zł., na nr. 85.148; trzecia, w kwocie 2000 zł., na nr. 45 679.

Rozbójnicze morderstwo. W sprawie morderstwa, popełnionego przez urlopowanego żołnierza Aschkinaza na fiakrze lwowskim Segalu, donoszą nam z Tarnopola, że konie sprzedane przez mordercę znaleziono u jednego z tarnopolskich pokątnych handlarzy koni, który je nabył za 30 zł. Swój mundur sprzedał Aschkinaz tandeciarzowi w Tarnopolu. Tak handlarza koni jakoteż i tandeciarza aresztowano i odstawiono do sądu w Tarnopolu.

Domowy złodziej. W handlu p. Karola Schajera wykryto, że jeden z jego uczni Jan Prell wynosił niepostrzeżenie od dłuższego czasu rozmaite towary ze sklepu. Indagowany chłopak przyznał się, że do kradzierzy namówił go szynkarz z pl. św. Ducha Filip Kretler, któremu chłopczyna skradzione rzeczy zanosił, za co mu przebiegły szynkarz dawał śniadania i raz dał mu 3 zł. Przy odbytej rewizyi u Filipa Kretlera, znaleziono tuzin nowych koszul męzkich, pochodzących ze składu p. Karola Schajera.

Śmierć czterech ludzi. Oswojone zdawałoby się już ze stopą ludzką potężne grzbiety łańcucha szczytów Mont-Blanc'u, znowu ostatniemi dniami zapisały się w kronikach alpinistów żałobnemi głoskami. Padli ofiarą, do pewnego stopnia rzec można nieostrożności swojej: trzej przewodnicy rodem z Courmayeur, miejscowości na południowym stoku łańcucha Góry Białej położonej, i turysta, adwokat z Pragi, doktor Schnurdreher. Ten ostatni przybył w d. 16 z. m. do Courmayeur po przez *Col du Géant*, a dnia 17 z dwoma przewodnikami z tej miejscowości wyruszył na Mont-Blanc. Ponieważ odchodząc dawał do zrozumienia, iż wycieczka jego może potrwać czas dłuższy, rodzina dopiero przewodników depeszą dała znać do mera Chamonix o zniknięciu karawany. Wysłano natychmiast na poszukiwania jej 30 przewodników i ci u stóp szczytu zwanego *Dôme du Gouter* na ślad zaginionych odnalezieniem kapeluszy ich i lasek naprowadzeni, ciała ich zmiażdżone w głębokiej na 50 metrów rozpadlinie odkryli, i wieczorem dnia 26 zm. po przezwyciężeniu wielkich trudności dobyte, do Chamonix odnieśli, gdzie je pochowano. Jak się pokazuje, katastrofa przytrafiła się już w czasie zejścia. Dla ułatwienia sobie drogi spróbowano ślizgać się po gładkiej, zlodowaciałej skorupie śniegu i zapędzono się w złym kierunku. Skorupa śniegu była tak twarda, że zatrzymać się na niej nie zdołano i po okropnej, 200 metrowej szlichtadzie, wszyscy trzej spadli w przepaść.

Na dwa dni przedtem najgłośniejszy przewodnik z Courmayeur, sławiony nawet przez Baedekera, Emil Rey, schodząc z t. zw. *Aiguille du Géant*, w przejściu na *Aiguille Noire* potknął się i runął w przepaść. Towarzyszył on Anglikowi nazwiskiem Roberts, który szczęśliwie sam bez wypadku dostał się do Chamonix. Spadłe właśnie na *Col du Géant* obfite śniegi uniemożliwiły tymczasowo odnalezienie zwłok głośnego przewodnika.

A jaką naprzykład drogą dochodzą do sławy głośni przewodnicy, oto przykład. Zdarzenie było w Engadinie na górze Pin Sinard (3,416 m.), dostępnej jedynie bardzo wprawnym nogom i niezawrotnym głowom. Turysta jakiś pod samym szczytem zwichnął nogę, a towarzyszył mu jeden tylko przewodnik z Kloster, nazwiskiem Guler. Położenie nie należało do wesołych, nie wiele jednak myśląc, dzielny przewodnik ładuje sobie podróżnika na plecy i po pięciogodzinnym, łatwo sobie wyobrazić, jak znośnym pochodzie, składa go w miejscu zupełnie bezpiecznem.

Jazda koleją i choroby nerwowe. Drezdeńska *Eisenbahnzeitung* niedawno umieściła artykuł zalecający jazdę kolejową jako niezawodny środek przeciwko cierpieniom nerwowym. Dwaj specyaliści chorób nerwowych, dr. Ritter i dr. Villers, na mocy długoletniego doświadczenia orzekli, że twierdzenie *Eisenbahnzeitung* najzupełniej jest bezpodstawne, czego dowodzi już okoliczność, że mnóstwo urzędników kolejowych po kilkunastu latach służby czynnej ma system nerwowy kompletnie rozstrojony. Ulgi, doznane przez neurasteników po jeździe kolejowej, są tylko pozorne i przejściowe, spowodowane zaś nie tyle jazdą, ile nowością przesuwających się przed oczami obrazów i wrażeń.

Samobójstwo z powodu podatków. Z Paryża donoszą: W przedpokoju ministeryum finansów odebrał sobie wczoraj życie wystrzałem z rewolweru niejaki Guiot, fabrykant. Dowodził on, że administracya ściągnęła z niego niesłusznie około 60.000 fr. podatku, co dla niezbyt bogatego przedsiębiorcy stanowiło wielką stratę, niemal ruinę; od lat kilku dochodził swego u różnych władz, nie mogąc atoli otrzymać zadośćuczynienia, skończył samobójstwem. Zostawił żonę i kilkoro dzieci.

Operator dr. H Schramm powrócił do Lwowa i ordynuje obecnie w nowem mieszkaniu przy ul. Sykstuskiej l. 22.

Pomysłowy. Pewien krawiec wystąpił z propozycyą do komitetu wystawy przemysłowej, mającej się odbyć w roku przyszłym w Berlinie, że urządzi na placu wystawy wielki warsztat krawiecki, mający dostarczać gościom wystawy w kilka godzin za cenę 25 marek (15 zł) kompletne ubranie; nadto zobowiązał się, w razie oddania mu starego ubrania, odliczyć od tej sumy 5 marek. Komitet dotąd nie udzielił odpowiedzi.

Zmarli. Kazimierz Ratowski, były obywatel ziemski, umarł w Krakowie w 78-ym roku życia. O. Chryzostom Szarzyński, kapłan zgromadzenia OO Paulinów, umarł w Krakowie w 59 roku życia. Fr. Balzer, adjunkt sądowy umarł w Leżajsku.

Stan powietrza. T. o 9 rano +9° R., w poł. + 12° R. Bar. 762. Spada. Deszcz.

Dwuznaczne

— Przyniosłem pani bardzo ciekawą książkę, gdyż słyszałem, że pani jest wielką zwolenniczką romansów

— Owszem, bardzo lubię romanse, ale krótkie!

Teatr. Jutro wznowioną będzie wyborna komedya Ohneta p. t. „Właściciel kuźnic“ z panią Felicyą Stachowiczową w głównej roli. Komedya ta posiada od dawna przywilej zapełniania teatru. W piątek po raz piąty „Niobe“; w sobotę „Nitouche“ z panną Czaplińską w tytułowej roli. Odbywają się codziennie próby z 3 aktowej komedyi Kadelburga p. t. „Dwa herby“. Pierwsze przedstawienie zapowiedziane na poniedziałek. Niebawem wznowionym będzie „Pan Jowialski“; p. Fiszer odegra tytułową rolę po raz pierwszy.

Literatura i Sztuka.

*** Teatr**. Do dramatu „Na bezdrożach“, przedstawionego onegdaj po raz pierwszy na scenie lwowskiego teatru, nie można przykładać miary bezwzględnej literackiej krytyki już chociażby dlatego, że jest to praca młodego autora, zaledwie rozpoczynającego swój zawód pisarski, praca, która niezaprzeczenie przyniosła na sobie pewne cechy prawdziwego talentu, a nawet odczuwa się w niej dość bystrą obserwacyę ludzi i dość głęboki, acz często zbyt jednostronny zmysł satyryczny pisarza o temperamencie krewkim, energicznym i śmiałym. Sam dramat zbudowany chaotycznie, rwany kawałami z życia — gdzie jest lepszy, oplątany reminiscencyami z kilku sztuk naturalistycznych — gdzie jest słabszy, tonący w banalności — gdzie jest zmanierowany, cały osnuty na tle ponurem i nieraz bezbrzeżnie pesymistycznem, robi wrażenie, jakby się autor zrywał do szerokiego lotu, ale mu jeszcze dość silne skrzydła nie wyrosły. Z tego, cośmy dostrzegli w dramacie, mamy nadzieję, że wyrosną, ale nie trzeba ich zbytnio zanurzać w kałużach naturalizmu, bo obłocone skrzepną, przedwcześnie odrętwieją i po za ciasny doktryneryzm pisarski wyżej się nigdy nie podniosą...

„Na bezdrożach“, mimo, że się tak wyrazimy, gorączkowej gestykulacyi autorskiej, mimo ruchu wpadającego w znamiona zamięszania chaotycznego, mimo żywo nakreślonych, ale oderwanych i błąkających się pojedynkiem epizodów — posiada treść zwykłą, bez jasnych barw, bez uśmiechów — szarą, jak ołowiane niebo.

Zamożny obywatel ziemski, a więc szlachcic, ma córkę wykwintnie, ale źle wychowaną, nudzącą się na wsi i tęskniącą do jakichś nieokreślonych ideałów, od których otoczenie bliższe i dalsze oddala ją coraz bardziej. Panna Amelia, w młodych ludziach widzi tylko łowców posagowych, a ponieważ majątek ojca jej jest mocno nadszarpany, więc oczywiście i posag córki jest zagadkowy. Młodzi ludzie wiedzą o tem i stronią, a panna gorzknieje i daje przystęp najskrajniejszemu pesymizmowi. W tej samej wsi mieszka dwóch młodych, wykształconych braci — obydwaj są synami chłopa, miejscowego włodarza, zostającego jeszcze na służbie u ojca Amelii. Jeden z nich, to rodzaj socyalisty, czy radykała bez zajęcia, człowiek z gruntu zły, przewrotny, jakiś doktryner nienawidzący szlachty, pragnący jej zguby, no, i rzecz naturalna, pieniędzy po niej; drugi, to doktor medycyny, człowiek szlachetny, ale słaby, który brata strofuje, ale biernym jest i niezaradnym.

Obaj oni bywają we dworze. Michał Kamyk, zły duch całej wsi i okolicy, ma chrapkę na pannę Amelię, w której nie tylko podsyca pessymizm, lecz formalnie psuje ją i jednocześnie czyha na nią. Józef Kamyk, lekarz, z dawniejszych czasów ma jakieś obowiązki względem wiejskiej dziewczyny, Anusi, która go kocha, a z którą on się obiecał ożenić. Tymczasem, rozkochiwa się w Amelii i ona w nim. Tę miłość sobie wyznają, o czem dowiedziawszy się ojciec Amelii, szlachcic Milecki, wymawia dom Józefowi, a ten znowu pokłóciwszy się z rodzicami i z bratem Michałem o Anusię, którą za romans z synem bić w chałupie chcieli, zabiera ją z sobą, wywozi do miasta, żeni się z nią i jako lekarz oddaje się praktyce, która mu zresztą licho idzie, a przy tem i z żony nie ma pociechy, bo choć ją trochę okrzesał, ale zawsze innych pojęć, innych pragnień, innych instynktów jest ta pani doktorowa. Michał Kamyk tymczasem roznamiętnia córkę dziedzica, gubi ją, porzuca, a starego Mileckiego przy pomocy pieniędzy ojca swego włodarza, wydziedzicza z majątku i puszcza z torbami. Amelia porzuca ojca, znika i stacza się w kałużę ohydnego występku. Józef spotkawszy ją raz na ulicy, chce ją ratować, sprowadza w tym celu do siebie, gdzie, właśnie, przybył ze wsi i Michał, aby się starać o rękę dawnej znajomej, ładnej i bogatej panny. Józef naprożno daje sposobność bratu, aby naprawił krzywdę, którą wyrządził Amelii, a z drugiej strony ta dowiedziawszy się, że ją chce oddać do szarytek, ucieka innemi drzwiami w świat, w objęcia występku, w którym, widocznie, zasmakowała, a Michał robi to samo, tylko innemi drzwiami. Oto jest szkielet dramatu „Na bezdrożu“, w który wplecione są epizody, sceny i postaci, słabo, lub zgoła nie powiązane z główną akcyą dramatu dość skomplikowanego w pomyśle, którego autor, jednak nie zdołał zamknąć w jednolite ramy, lecz połamał go na kawały i ułożył w mozajkę, miejscami barwną, jaskrawą na tle ciemnem, ponurem i smutnem.

Z postaci głównych tylko jeden Michał Kamyk jest przeprowadzony wyraźnie i konsekwentnie, we wszystkich innych rysunek chwiejny, niepewny, drżący, mdły, chociaż tu i ówdzie niezupełnie pozbawiony życiowej prawdy. Do najbardziej chybionych postaci należy guwernantka Mitzi Majer, a to, co ona opowiada w czwartym akcie, jest niesmaczną wycieczką, niemającą najmniejszego usprawiedliwienia w dramacie, równie jak nie ma usprawiedliwienia kaleczenie polszczyzny przez Niemkę, bo to efekt w gruncie komiczny, a ta panna Majer z drastyczną, choć starannie ukrywaną przeszłością, komiczną wcale nie jest.

W jednym akcie wprowadza autor grzmoty i błyskawice. O ile mogliśmy zrozumieć intencye autora, mają one podsycać grozę położenia i spełniać rolę jakiegoś symbolizmu. W rzeczywistości zaś osłabiły całą tę realistyczną scenę Amelii z Michałem, bo nadały jej koloryt melodramatyczny mimo trzasku piorunów i na zawołanie sprowadzonej burzy.

Słówko jeszcze o grze artystów.

Dystyngowaną, a później brnącą w kałuży występku Amelię grała z miarą artystyczną pani Żelazowska, zasłaniając dyskretnie zmysłem estetyki aktorskiej zbyt jaskrawe i drastyczne sytuacye. Michał Kamyk znalazł w p. Żelazowskim dzielnego wykonawcę, artysta w postać tę włożył potężny zasób prawdy, plastyki i temperamentu. Rolę Mileckiego p. Hierowski może zaliczyć do popisowych, tak ją grał wybornie i subtelnie. Anemicznego doktora nie uratowała staranna i poprawna gra p. Woleńskiego. Przewybornym zblazowanym arystokratą był p. Walewski, a niewielką postać starego tetryka Podorskiego odegrał p. Ruszkowski z dobitną charakterystyką. Dobrze zrozumiała i dobrze odegrała pani Kwiecińska Anusię, przeistoczoną później w doktorowę. Inne role mniejsze starannie bardzo wykonali pp. Gostyńska, Cichocka, Polkowska Otrembowa, Rybicka, Kiczman, Wysocki i Janikowski.

Iks Ypsylon.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 września.

(Z.) Zniżka na wielkie rozmiary rozwielmożniła się na giełdzie. Teraz dopiero odczuwają spekulanci bolesne skutki podwyższenia stopy procentowej. Liczne rzesze drobnych spekulantów, nie mogąc dostać gotówki, wyprzedają swoje papiery, a pewien znany w tutejszych sferach finansista rozpoczął zuchwałą kampanię zniżkową w walorach kolejowych. Dziś rzucił on na targ 23.000 akcyi Staatsbahnu i 6000 akcyi kolei nadłabskiej, i w jednej chwili zbił kurs tych papierów o 6 zł. Papiery kolejowe są obecnie kozłem ofiarnym, wszystkie spadają w cenie, a różnica kursu w ciągu tygodnia wynosi w niektórych 5 do 6 pct. Akcye kolei północnej spadły dziś prawie o 100 zł.

Bankowe papiery także spadły, to samo renty i walory przemysłowe, tak, że prócz akcyi Lloyda i akcyi dynamitowych nie było dziś ani jednego papieru, któryby utrzymał się przy ostatnim kursie. Słabą od samego początku tendencyę giełdy pogarszały jeszcze bardziej pogłoski o wybuchu nowych rozruchów w Macedonii.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 402·50, węgierskie 485·25, Anglobanki 174·50, Uniony 350·—, Bankvereiny 165·70, Länderbanki 284·50, Ludwiki 222·75, Czerniowieckie 323·—, Elbethale 279·—, Renta papierowa 100·75, srebrna 101·—, austryacka złota 122·—, 4% austr. renta wal. kor. 101·—, węgierska złota 121·45, 4% węgierska renta wal. kor. 99·60, dukat 5·70—, 20-frankówka 9·56, marki 11·79, ruble 1·29¼.

Wiedeń 16 września. Spirytus 15·40—15·60.

§ Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu

Kraków 17 września.

Z powodu nadchodzących świąt izraelickich, był odbyt lepszy, ceny jednak nie uległy prawie żadnej zmianie.

Płacono nową pszenicę białą: —·—, czerwoną 7·35 do 7·65, żółtą 7·35—7·65, żyto n. 6·35 do 6·60, jęczmień browarny 6·50 do 7·25, na paszę 5·80—6·00, owies stary 5·60 do 6·— zł., wykę 0.00—0.00 zł., rzepak 9.15—9.25. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 18 września. Przy wczorajszych wyborach do rady miejskiej z trzeciego koła wyborczego wszystkie ośmnaście dzielnic miasta wybrały z wyjątkiem jednego narodowca niemieckiego zresztą samych antysemitów. Na 46 mandatów z tego koła wyborczego zdobyli antysemici 44, jeden mandat dostał się narodowcowi niemieckiemu z partyi Schönerera, a o jeden mandat z dziesiątej dzielnicy (Favoriten) odbędzie się ściślejszy wybór między narodowcem niemieckim a antysemitą. Liberałowie stracili 12 mandatów, w tej liczbie wszystkie siedm mandatów ze śródmieści, które dotychczas wybierało zawsze samych liberałów i trzy mandaty z dzielnicy Leopoldstadt, która również była dotychczas niewzruszoną warownią liberalizmu. W tej dzielnicy mieli antysemici przy wczorajszych wyborach około sto głosów większości.

Wybory odbyły się w ogóle bez poważnych zaburzeń, tylko w piętnastej dzielnicy pobito do krwi jakiegoś liberalnego wyborcę. W dwunastej dzielnicy gromada około 60 pijanych antysemickich wyborców chciała przemocą wpaść do lokalu liberalnego komitetu wyborczego, policya jednak zapobiegła temu i aresztowała pięciu ekscedentów. W kilku innych punktach miasta przyszło do nieznacznych awantur, którym policya rychło położyła koniec. Aresztowań było przytem wiele. Między antysemitami panuje radość ogromna z powodu tego zwycięstwa. Przed lokalami wyborczymi zalegały nieprzejrzane tłumy ludności, w lokalach publicznych ruch był niesłychany, antysemiccy wyborcy wyprawiali uczty do późnej nocy.

Kis Czell 18 września. Cesarz przybył tu wczoraj o 6 wieczorem na manewry kawaleryi. Na dworcu powitali go arcyksiążęta Rainer i Fryderyk, minister wojny Krieghammer, szef sztabu jeneralnego Beck, jeneralicya i naczelnicy władz. Cesarz przywitał się serdecznie z obu arcyksiążętami, z jenerałami Beckiem, Krieghammerem i Fejervarym, tudzież z nadżupanem i wiceżupanem komitatu, odpowiedział serdecznie na przemowę nadżupana Reissiga i wśród bicia dzwonów i entuzyastycznych okrzyków ludności, tworzącej szpaler, wjechał do miasta i udał się do opactwa Benedyktynów, gdzie powitali go opat ks. Feher, gubernator fiumański hr. Battyanyi, tajny radzca Rado, wielu posłów i liczne deputacye. Wieczorem urządzono prześliczną illuminacyę miasta.

Paryż 18 września. Prezydent Faure, bawiący obecnie w Mirecourt, zaprosił do siebie rosyjskiego ministra spraw zagranicznych ks Łobanowa. Ks Łobanow przyjął zaproszenie i uda się do Mirecourt w towarzystwie francuskiego ministra spraw zagranicznych, p. Hanotaux.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 17 września. H. hr. Szeliski z Komborni. A. hr. Romer z Krakowa. A. br Rayvich z Fiume. A. br. Tranger z Nadwórny. A. Jędrzejowicz ze Starego miasta. E. Rużyczka z Wiednia. N. Wetzler z Wiednia. K. Gołębski ze Sławentyna. M. Kwiatkowska z Rosyi. M. Brukman z Warszawy. Z. Horodyński ze Zbydniowa. M. Löw z Borysławia. A. Volter z Tłumacza. P. N. Friedler z Brzeżan.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 września. M. hr. Grabowska z Polski. A. Czerwiński z Podola ros. Wł. Makomaski z Żulic. A. hr. Starzeński z Dąbrówki. A. hr. Cetner z Podkamienia. P. Habal-Dobrzański ze Sambora. G. Platz z Borysławia. A. Priwoznik i J. Wimmer z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 18 września (Z Izby handlowej.)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 223 50 do 224 50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jassas po 200 zł. w. a. 32[illegible].— do 325 — Banku hypotec. [illegible] po 200 zł. w. a. 4[illegible]5.— do —.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 205. —. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250 — do 260. —.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110 30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 60 101·30, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100 50 do 101.20 [illegible] kraj. 4 proc. los. 57 lat. 93 — do 99 70 Tow. kred. ziem. 4 proc. (I emisya) 98 50 do 99 20 4 proc. ok. w 41 i pół latach 98 30 do 99 —, 4 proc. los. w 56 lat. 98·10 do 98·80.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego [illegible] 98·10 do 98·80 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102 — do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.7 , Pożyczki kraj. 6 proc. 105— — —, 4 i pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97 70 do 98 10 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97 80 do 98.—

Monety. Dukat cesarski 5 61 do 5.7 , Napoleondor 9.52 do 9.62, Półimperyał 9.75 do —.—, Rubel rosyj. i papierowy 1.30 do 1.31, 100 marek niemieckich 58 50 do 59 30.

Wiedeń 17 września. Notowania wieczorne. Kredyty 402 37, węgierskie kredyty 487 00, anglobank 174 50, bankverein 168 25, unionbank 351·75, länderbank 284·60, staatsbahny 395·75, lombardy 111.25, elbethale 278 75, akcye tytoniowe 235.75, rima 287.25, alpiny 101.20, renta majowa 100.80, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 76.60, węg. renta koronowa 99.60, marki 59.00, ruble 129 2 5

Wiedeń 17 września (godz. 11 w połudn.). Kredyty 400 85, kred. węg. —.—, Anglobanki 173 75, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 284 25, Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 394 25, Lomb. (z kup.) 111.—, Elbethale —·—, Renta pap —.—, Renta węg. 4% zł. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, [illegible] —.—, Marki 59 —, Losy tureckie —.—.

1)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

I.

Willa Smithera, położona o dwie mile od Nowego Orleanu, wznosiła się wśród gąszczu drzew i kwiatów, których bujna, pnąca zieloność tworzyła po nad fantastycznie powyginanym jej dachem jakby rodzaj woniejącego wieńca.

Obszerne, choć skromne na pozór mieszkanie, składało się z jednego tylko piętra, wzniesionego na ceglanych słupkach, do którego wiodły nizkie, drewniane schodki. Tym sposobem świeże, nocne powietrze swobodnie przewiewało pod podłogami apartamentu, a wody Missisipi w porze wylewów mogły bez przeszkody zalewać ziemię, którą użyźniały pokładem mułu.

Plantacya Smithera zajmowała obszerną, płaską przestrzeń, zagrodzoną po jednej stronie nurtami wyżej wspomnianej rzeki, a po drugiej nieprzebytym, bujnym, tajemniczym nieco lasem, jak wszystkie zresztą puszcze Nowego Świata, rozciągającym się aż po skrajne ulice Nowego Orleanu. Otoczona dokoła szeroką galeryą, na którą wychodziły drzwi i okna pokojów mieszkalnych, osłoniona była od skwaru prostopadłych promieni słonecznych pochyłym dachem, pod którym pełzały splątane łodygi pnących się krzewów.

Z galeryi tej wzrok sięgał daleko, obejmując całą posiadłość, fale rzeki połyskujące w słońcu i niezmierzoną przestrzeń pól urodzajnych, tworzących jakby rodzaj olbrzymiej szachownicy, której kwadraty zapełniały: kukurydza, pataty, ryż, kawony i plantacye kawowe.

Nieco na lewo szpaleru, prowadzącego do głównego wejścia, rósł istny las dziewiczy krzewów pomarańczowych, granatowych i innych drzew o silnym, odurzającym zapachu, których rosochate gałęzie splatały się z sobą w górze, pnie zaś ich tonęły w uściskach dziko rosnących róż i jaśminów. Gdy wiatr wionął z tej strony, niósł aż do otwartych okien mieszkania morze woni, które nasuwało myśl o rajskich ogrodach, opiewanych przez czarodziejskie baśnie.

Po drugiej stronie rzeki rosła plantacya drzew kokosowych i bawełnianych, dosięgająca aż do skraju puszczy. Posiadłość Smithera, jedna z najznaczniejszych w Luizyanie, przynosiła rok rocznie właścicielowi do trzechkroć sto tysięcy franków dochodu, czyli drzewa liczyły się tam na tysiące, a hektary uprawnego gruntu na setki.

Pewnego majowego wieczoru, we czwartek, dom przybrał wygląd niezwykle odświętny; mówimy niezwykle, bo co tydzień w tym dniu odbywały się recepcye w willi Smithera, to jest właściciele sąsiednich posiadłości i znajomi z Nowego Orleanu zjeżdżali się tam w celu słuchania muzyki i przypatrywania się ochoczym tańcom młodzieży.

Tego wieczoru jednak rozwinięto zewsząd niebywały zbytek. Do gałęzi drzew cytrynowych i ślazowych, tworzących szpaler, poprzyczepiano kolorowe lampiony, które gąszczom ciemnej zieleni, owianym ciepłem tchnieniem letniej nocy, nadawały pozór tajemniczy i czarodziejski. Wzdłuż wystających brzegów galeryi biegła dokoła girlanda świateł, a przez szeroko roztwarte okna, przysłonione gazowemi zasłonami, kaskady blasków biły na klomby i trawniki parku, zanurzone w półcieniu. Dźwiękom orkiestry towarzyszyły wesołe wybuchy śmiechu i gwar ożywionej rozmowy, a za pająeczą gazą firanek przesuwały się w mdlejącem kołysaniu walca lub skocznem tempie polki splecione pary tancerzów.

W głębi galeryi, na pół leżąca na bambusowej kozetce wiekowa dama, z głową wspartą o tylną poręcz wachlowała się niedbale, odpowiadając potakującemi półsłówkami na rozmowę mężczyzny, opartego plecami o balustradę i palącego cygaro hawańskie, z którego kłęby wonnego dymu puszczał w noc letnią.

Oświetlona w pełni latarnią, zwieszoną z dachu, twarz jego energiczna, męzka, nieco surowa nawet, o rysach szpiczastych, uwydatniała się w najdrobniejszych swoich szczegółach. Linia nosa, nieco zgarbiona, nadawała jej wyraz zuchwały, spotęgowany jeszcze czarnym, długim, sumiastym wąsem, któremu to tylko można było zarzucić, że nadto był wypomadowany i zakręcony do góry na końcach. Usta były małe, o bladych, wązkich wargach, a oczy ocienione czarnemi, w poprawny łuk zarysowanemi brwiami, miały nieokreśloną barwę, graniczącą pomiędzy siwą a piwną; wzrok ich niepewny przeszywały niekiedy niepokojące, przelotne błyski. Włosy, gładko przypłaszczone nad czołem, zdobiły głowę silnie osadzoną na barczystych ramionach, a kształty, rysujące się pod obcisłym smokingiem, przyozdobionym kwiatkiem w butonierce, zdradzały niezwykle muskularną i krzepką budowę ciała.

Przez krótką chwilę zamilkł, bawiąc się z roztargnieniem pierścieniami na palcach, na których połyskiwały wielkie brylanty, siejące tęczowe ognie dokoła. Naraz wyjął cygaro z ust, wyrzucił je przez balustradę i zbliżył krzesło swoje do szeslongu, na którym spoczywała dama.

— I cóż, kochana pani Smither — zapytał przymilającym głosem, który zdradzał mocno południowy akcent — cóż pani myślisz o mojej propozycyi?

Wiekowa dama zakasłała sucho i przestając się wachlować, podniosła się nieco, wsparta na łokciu.

— Myślę, panie margrabio, że pańska propozycya jest bardzo zaszczytna dla nas i gdyby to tylko odemnie zależało, uważałabym rzecz za skończoną, ale...

Nie dając czasu dokończyć pani Smither, margrabia pochwycił jej dłoń i z przesadną galanteryą poniósł ją do ust swoich.

— Ale — ciągnęła dalej dama — do mojej drogiej Mary należy jedynie prawo rozporządzania swoją ręką, to też mogę tylko panu odpowiedzieć: nie trać nadziei, a jeżeli od mojej zachęty zależeć będzie, aby moja wnuczka została margrabiną de Santa Capella...

— Dziękuję pani stokrotnie — przerwał żywo margrabia.

I tonem głębokiego przejęcia dodał:

— Gdybyś pani wiedziała, jaką bezgraniczną miłość wzbudziła we mnie miss Mary! Gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, zostałem jak olśniony. Zdawało mi się, że słońce z błękitów zstąpiło na ziemię; jej oczy wydały mi się jak dwie gwiazdy, a gdy się uśmiechnęła, pomyślałem, że niebo otwiera się przedemną!

Pani Smither zaśmiała się.

— No, no, kochany margrabio, nie wysilaj się na taki daremny zapał, zwłaszcza że pochwały, któremi szafujesz względem mojej wnuczki, są przesadzone.

— Przesadzone!... Powiedz pani raczej, że są dalekie od dorównania prawdzie, bo język ludzki nie jest w stanie wypowiedzieć tego, co czuję.

— Język włoski jest tak bogaty, że właśnie umie się naginać do przesady, do której południowy temperament pański jest skłonny.

Słowa staruszki, wyrzeczone bez cienia złośliwości, sprawiły na margrabi przykre wrażenie. Przesunął ręką po czole, aby ukryć mimowolne ściągnięcie brwi, a usta jego zacięły się nerwowo.

— Przyznaję — rzekł, opanowawszy się w jednej chwili — że mamy pewną skłonność do egzageracyi, ale to jest właściwość wszystkich artystów, a naród włoski jest na wskróś artystyczny.

— Zwłaszcza Palermitanie... a pan jesteś rodem z Palerma, nieprawdaż?

— Ja?... — rzucił się mimowoli.

— Wszakże mi to pan sam powiedziałeś? Chyba, że się przesłyszałam.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.